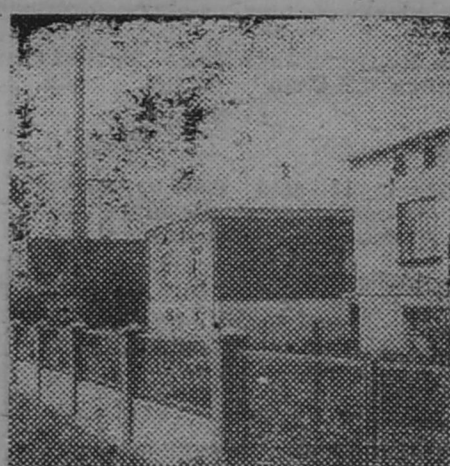




3
między soju-
szem a kon-
fliktem



5
40 lat
minęło...



6
prawda
i legenda



7
szarak w
buraczkach



czekoladowa
gwiazda



KONTAKTY

ŁOMZYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

35

(203)

KONTAKTY
21X 1984

cena
10 zł



Fot. STANISŁAW HOROSZ

**SMIAŁO, CHŁOPCZE! TEN ROK
NIE BĘDZIE WCAŁE ZŁY**

MAN J! poczułem BLUESA!

ADAM JERZY SOCHA

Jeżeli „Polska Kuleje Państwo-
wa”, znana pod skrótem PKP,
przywozła Cię w dniu 10 sier-
pnia 1984 roku do Olsztyna, a
właśnie wracałeś(aś) z pogrze-
bu i wiozłeś(aś) kamień smutku
bądź wysiadłeś(aś) w mieście
nad Łyną rozradowany(a) we-
selem, zapewne spostrzegłeś(aś)
na dworcu długowłosych hipiejów
w wycieruchach, z gitarą, sie-
dzących gdzie popadnie, czyli
na posadzce, i jeżeli następnie
zoczyłeś(aś) planszę: „Olsztyń-
skie Noce Bluesowe”, to ani chy-
bi nogi poniosły Cię same tam,
gdzie mogłeś(aś) rzucić z sie-
bie balast rozpaczy albo podzie-
lić się kromką szczęścia.

Dawno, dawno temu, czyli ja-
kieś 20 lat wstecz, do Polski
zjechała na koncerty brytyj-
ska grupa *rythm and bluesowa*
„Animals”. Był to czas, gdy nad
Wisłą zaczynał się szal „mocnego
uderzenia”. — „Animalsi” przywie-
źli z sobą stertę taśm z czarnym
bluesem — wspomina Tadeusz Na-
lepa, „ojciec” polskiego bluesa —
Słuchając tej muzyki zdumiałem
się, że nie grałem jej wcześniej. Ona
tkwiła we mnie. Tak się zaczęło.

Im bliżej godziny 20.00, tym co-
raz większy ruch przy olsztyńskim
Zamku. Tutaj, w amfiteatrze na
podzamczu, na trzy noce zagościł
blues. Solidna „bramka” Jakiś za-
mroczony osilek próbuje starano-
wać „bramkarzy” i wejść na wa-
riata. Po krótkiej szamotaninie w
wypięty tyłek uderza dwa razy pał-
ka. Gość się kłania wychodzi Kul-
tura. Jeszcze godzina do koncertu, a
już prawie wszystkie miejsca zaje-
te. Estrada ozdobiona napisami „We
sell sealed Shell”; „Puck Matches”;
„ERY'S Chocolate Celebrated” — w
poetyce jako żywo przypominającej
etykiety blaszanych pudełek, które
do dzisiaj zachowały się w wielu
domach z czasów UNRRA. W tle —
panoramiczne zdjęcie „drapaczy
chmur” nocą Chicago?

Bluesowanie rozpocznie człowiek-
legenda: Tadeusz Nalepa blues
„Breakout”. To, co śpiewał, towa-
rzyrzyło tysiącom młodych ludzi. Z
jego muzyką kładli się spać i wsta-
wali. Jego teksty śpiewa się do dziś

CIĄG DALSZY STR. 8-9

W NASTĘPNYM NUMERZE: wspomnienia lokaja Eryka Kocha
▲ o polskich podziałach i pojednaniach — Zdzisław Czeszejko-Sochacki, prezes Zrzeszenia Prawników Polskich ▲ Izawa żniwa
▲ ciężkie dni oświaty ▲ „Kontakci” ▲ „Czekoladowa gwiazda” (3).

O SYTUACJI W PRODUKCJI zwierzęcej i zaopatrzeniu w pasze na podstawie wyników spisu pogłowia zwierząt gospodarskich mówiła Egzekutywa KW PZPR w dniu 21 VIII br. Oceniała też przygotowania do roku szkolnego, z uwzględnieniem faktu wprowadzenia w życie ustawy o radach narodowych i samorządzie terytorialnym (powołującej m.in. stanowiska gminnych inspektorów oświaty). Zapoznała się z wynikami konsultacji centralnego planu rocznego 1985 w naszym województwie oraz z informacją o realizacji uchwał XVI Plenum KC PZPR. Oceniała szkolenie partyjne w minionym i przyjęła jego kierunki na rok przyszły. Przyjęła ponadto wniosek na przygotowywane Plenum KW w kwestii patologii społecznej i przestępczości.

◆ Racjonalna polityka państwa wobec rolnictwa przynosi pozytywną stabilizację w tej dziedzinie gospodarki. W niektórych jej gałęziach widać wyraźny rozwój. W naszym województwie dotyczy to głównie hodowli. Według informacji WUS-u — tegoroczny spis rolny wykazał wzrost pogłowia bydła (wszystkie wskaźniki w porównaniu do roku ub.) o 9,8 proc. w gospodarstwach upolitycznionych (głównie w PGR-ach i SKR-ach) i o 5 proc. w gospodarstwach indywidualnych. Wzrost ten zaznaczył się w hodowli bydła na rzeź, a także — krów mlecznych.

◆ Jeszcze większy wzrost notuje się w hodowli trzody chlewnej, szczególnie w kółkach rolniczych i spółdzielniach produkcyjnych. W sumie: w gospodarstwach upolitycznionych wyniósł on 12,3 proc., a w indywidualnych — 8,3 proc. Ciekawe, że hodowla świń wzrasta również w miastach (zmalala tylko w Ciechanowcu, Rajgrodzie i Stawiskach, a z gmin — jedynie w Wiźnie).

◆ W sposób widoczny zmalala liczba koni: w miastach o 8,8 proc., w gminach — o 6,7 proc. Nadal jednak jest tych „owsianych napedów” ponad 45 tysięcy w naszym województwie.

◆ Liczba owiec w gospodarstwach upolitycznionych nieznacznie wzrosła, natomiast kur — dość wyraźnie spadła. W gospodarstwach chłopskich nastąpił wyraźny wzrost pogłowia owiec (o 12,7 proc.), a także niewielki wzrost ilości kur.

◆ Spis rolny potwierdził także stabilność liczby gospodarstw rolnych, których liczba nieznacznie zmalala (indywidualnych o 0,6 proc., rozwiązała się jedna spółdzielnia produkcyjna), głównie w miastach.

ŁOMŻA PRZYGOTOWUJE SIĘ do obchodów 40-lecia wyzwolenia. Program, jak widać obok, zapowiada się uroczysty, i atrakcyjny. Podczas takiego święta nie sposób zapomnieć o przedsiębiorstwach, które tworzyły historię miasta. Wśród wyróżnioną odznaką „Za Zasługi dla Województwa Łomżyńskiego” znajduje się m. in. Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego. Przed dwudziestu laty ruszyły w Łomży Zakłady Przemysłu Ziemniaczanego, potocznie zwane „Krochmalnia”. Później zaczęły produkować glukozę, a po zbudowaniu browaru — słynne w kraju piwo. W połowie lat siedemdziesiątych powstała wytwórnia pasz dla rolnictwa. Kombinat PPS to nie tylko początki łomżyńskiego przemysłu, ale także perspektywa rozwoju rolnictwa (nowoczesnej uprawy ziemniaków). Obok jubilat odznaka otrzyma także Fabryka Aparatury i Urządzeń Komunalnych. Jej historia liczy wiele dziesięcioleci. Powstała z upaństwowionej przedwojennej Fabryki Maszyn Rolniczych Orłowskiego, czyli odlewni żeliwa. Od 1957 roku była zakładem Łomżyńskich Zakładów Przemysłu Tętnowego, które już wkrótce działały w 17 branżach wytwórczych i usług. Likwidacja tego przemysłu w 1975 roku pozostawiła je większości zakładów, które przeszły do spółdzielczości, pozostawiając odlewnię, zakład graficzny i dwa zakłady galanterii metalowej. Od kilku lat Fabryka działa samodzielnie, a 220-osobowa załoga pracuje w odlewni żeliwa i zakładach metalowych, które przeniesły się już częściowo do (wybudowanych przy

ul. Poznańskiej) nowoczesnych hal produkcyjnych.

DZIĘKI SPRZYJAJĄCEJ pogodzie do 23 sierpnia skoszone w Łomżyńskim 85 proc. zbóż, zaś sprzątnięto 65 proc. Szacuje się, że tegoroczne plony będą nieco wyższe od zeszłorocznych i wyniosą średnio 24 kwintale z hektara. Odnotowaliśmy wiele skarg na awarie kombajnów (silników, a szczególnie — łożysk) i niedotrzymywanie terminów usług przez SKR-y.

DO SZKÓŁ I PLACÓWEK wychowania przedszkolnego będzie uczęszczać ponad 60 000 dzieci i młodzieży (12 000 przedszkolaków, 47 500 uczniów szkół podstawowych, 14 500 — ponadpodstawowych). Do klas pierwszych szkół podstawowych przyjdzie 6150 uczniów. We wszystkich typach szkół i placówek opiekuńczo-wychowawczych podejmie pracę 5200 nauczycieli. Znaczną część szkół podstawowych na wsi nadal będzie odczuwać brak nauczycieli o porządnym kwalifikacjach pedagogicznych. Najtrudniejszą sytuacją w tym względzie występuje w gminach: Turośl, Nur, Perlejewo i Rutki.

SĄDY W WOJEWÓDZTWIE łomżyńskim 83 osobom darowały karę pozbawienia wolności, 101 — jej ograniczenia; 18 osób skorzystało ze złagodzenia kary, zaś wobec 467 osób umorzono postępowanie. Urzędy prokuratorskie natomiast uchyliły 16 aresztów, a w 163 sprawach umorzyły postępowanie, co dotyczy 232 osób, w tym 5 w sprawach o charakterze politycznym. Do 20 sierpnia wpłynęło 8 zażaleń prokuratorskich, z których 6 zostało uwzględnionych.

NA NARODOWY CZYN Pomocy Szkole wpłaciły: Okręgowe Przedsiębiorstwo Obrotu Zwierzętami Hodowlanymi, Oddział Rejonowy w Łomży — 3758, Szkoła Podstawowa nr 3 w Łomży — 10 580, Zakład Produkcji Terazytu i Okładzin Dąbkowskiego i Mieczkowskiego w Łomży — 5000, Związek Zawodowy Pracowników Przedsiębiorstwa „Mera-Blonie” w Zambrowie — 2000, Wojewódzka Biblioteka Publiczna — 585, Urząd Poczto-Telekomunikacyjny w Nurze — 1300 złotych. Do 20 sierpnia na koncie Ogólnowojezdźkiego Funduszu Narodowego Czynu Pomocy Szkole zgromadzone 81 470 złotych. Poza tym istnieją i tworzą się fundusze lokalne, np. w Kolnie, Wysokiem Mazowieckiem, a także w mniejszych miejscowościach.

DODATKOWE ZAPISY do klas: fortepianu, skrzypiec, akordeonu i gitary ogłasza Społeczne Ognisko Muzyczne w Łomży. Przesłuchania kandydatów: 5. września od godz. 16.00 do 18.00 w siedzibie SOM, ul. Świerczewskiego 36.

40-LECIE WYZWOLENIA ŁOMŻY

1 WRZEŚNIA

- Święto Szkoły — uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego 1984/85.
- Międzynarodowa Spartakiada Sportów Obrony w Czerwonym Borze.

JESZCZE O DWUSETCE

Cieszymy się ogromnie, że Ziemia Łomżyńska ma swoje własne pismo popularyzujące jej walory, przybliżające przeszłość, pokazujące dzień dzisiejszy.

Z okazji wydania dwusetnego już numeru „Kontaktów” przesyłamy ze spólowi redakcyjnemu serdeczne gratulacje, życzymy sukcesów i czekamy na następny jubileusz.

JANUSZ DZIARSKI
prezes ZARZĄDU ODDZIAŁU
TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ
ZIEMI ŁOMŻYŃSKIEJ

zdanie tygodnia

— Nie wystarczy nic nie robić fizycznie, aby być inteligentem.
Jan K. — nauczyciel

myśl z atestem

„Wszystko, co nieludzkie, pochodzi od człowieka.”
Adam Prywer — bajkopis i aforysta

● Występy Reprezentacyjnego Zespołu Pieśni i Tańca „Litwa” (WDK, godz. 18.00).

6 WRZEŚNIA

● Uroczystości 20-lecia PSS-u: nadanie imienia i odsłonięcie pomnika patronackiego Aleksandra Zawadzkiego.

11-12-13 WRZEŚNIA

● Białostocki Teatr Lalek wystąpi ze spektaklem „Pan Fajna” (WDK, godz. 10.00 i 13.00).

12 WRZEŚNIA

● Uroczyste apele w szkołach z udziałem uczestników II wojny światowej.
● Uroczysta Sesja Miejskiej Rady Narodowej i Rady Miejskiej PRON (sala Urzędu Wojewódzkiego, godz. 14.00).

● Spotkanie przedstawicieli władz politycznych i administracyjnych województwa i miasta z gośćmi i ludźmi 40-lecia (godz. 17.00).

13 WRZEŚNIA — DZIEŃ WYZWOLENIA

MIASTA

● Włączenie na 3 min. wszystkich syren alarmowych w mieście — zatrzymanie duchu ulicznego (godz. 12.00).

● Złożenie wianek kwiatów w miejscach pamięci narodowej (asysta wart honorowych LWP — ZHP).

● Przeniesienie przez szafaty ognia ze zniczów zapalonych przy pomniku w Nowogrodzie i w Wiźnie (godz. 17.00).

● Wiec mieszkańców Łomży (godz. 18.00) przy zapalonym zniczu; apel poległych i przyjęcie „apelu pokoju”; występ orkiestry wojskowej z WOV; program poetycko-muzyczny; zabawa ludowa w hali targowej.

14 WRZEŚNIA

● Koncert uczniów Szkoły Muzycznej (godz. 16.00).

● Koncert zespołów młodzieżowych z Łomżyńskiego „Przeboje 40-lecia” (amfiteatr, godz. 17.00).

14-15-16 WRZEŚNIA

● „Tobie śpiewam tę pieśń” (WDK, „Estrada” warszawska).

15-16 WRZEŚNIA — ŚWIĘTO MUZYKI
PIEŚNI I TAŃCA

15 WRZEŚNIA

● Koncert Kapeli Podwórkowej z Grójca (pl. Żeglückiego i osiedla mieszkaniowe, godz. 9.00-11.00).

● Koncert Reprezentacyjnego Zespołu Dziecięcego Pieśni i Tańca „Radość” z Olsztyna (WDK, godz. 12.00-13.30).

● Koncert Orkiestry Dętej z DK Warszawa — Ochota (park miejski, godz. 13.00-14.00).

● Występy Zespołu „Radość” (muszla koncertowa, a w przypadku niepogody — WDK, godz. 16.00-17.30).

● Koncert chóru pieśni cerkiewnej (kościół NMP, godz. 17.00-18.00).

● Turniej tańca towarzyskiego (SP nr 1 lub Liceum Ekonomiczne, godz. 19.00-21.00).

● Koncert zespołu Rag Time Band i duetu „Gospels” (Klub „Galeria”, godz. 21.30-22.30).

● Nocna dyskoteka (hala targowa, godz. 21.00-24.00).

● Videoteka: „Największe koncerty świata” (Klub „Stale Zajęcie”, godz. 23.00-1.30).

16 WRZEŚNIA

● Koncert Kapeli Podwórkowej „Kolesie” z Ostrołki i rodziny Witkowskich (pl. Żeglückiego i osiedla, godz. 11.00-12.30).

● „Pszczółka Maja zaprasza” — impreza dla dzieci (świątelnia LSM-u, godz. 12.00-14.00).

● Videoteka: „Największe koncerty świata” (Klub „Stale Zajęcie”, godz. 12.00-15.00).

● Koncert Orkiestry Dętej Straży Pożarnej z Kolna (pl. Żeglückiego, godz. 13.00-14.00).

● Koncert galowy Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego (Stadion WOSIR-u, godz. 15.00-17.30).

● Koncert Orkiestry Dętej z Warszawy (park miejski, godz. 18.00-19.00).

● „Dyskoteka czterdziestolatków” (kawiarnia w ABC, godz. 19.00-24.00).

● „Zabawa w bluesem” (hala targowa, godz. 20.00-24.00).

CENTRALNA INAUGURACJA

W Łomżyńskim jest pięć dużych zespołów szkół rolniczych z internatami (Krzyżewo, Łomża, Marianowo, Niecko-wo i Wojewódzin) oraz 23 zasadnicze, tzw. środowiskowe szkoły rolnicze. Zes-

pół Szkół Rolniczych w Marianowie w dzisiejszym kształcie funkcjonuje od 27 IX 1971 r., kiedy to zostały przekazane do użytku: nowy budynek szkolny, internat, warsztaty i budynki mieszkalne, postawione kosztem 26 134 tysięcy złotych. Do nowych pomieszczeń przenieśli się uczniowie Zasadniczej Szkoły Rolniczej w Marianowie oraz Technikum Rolniczego w Łomży. W rok później powstało tu technikum rolnicze zaoczne, przekształcone następnie w technikum rolniczo-telewizyjne (TVTR).

Formalnie status Zespołu otrzymał 1 stycznia 1975 r. W jego skład wchodziły: 5-letnie stacjonarne technikum mechanizacji rolnictwa, 3-letnie technikum rolnicze, zasadnicze szkoły rolnicze, zasadnicza szkoła mechanizacji rolnictwa i 3-letnie technikum rolnicze zaoczne.

Od 1972 r. wykształcił 2361 absolwentów, w tym 1042 stacjonarnego technikum rolniczego oraz mechanizacji rolnictwa, 625 technikum rolniczego zaocznego, 493 zasadniczej szkoły rolniczej oraz 201 zasadniczej szkoły mechanizacji rolnictwa. Zespół zatrudnia 63 nauczycieli, w tym 24 — przedmiotów ogólnokształcących, 26 — zawodowych oraz 13 wychowawców internatu (80 proc. nauczycieli ma wykształcenie wyższe), z którego korzysta 300 uczniów (50 proc.), a 244 (40 proc.) otrzymuje stypendia.

W 35 rocznicę powstania Ludowego Wojska Polskiego, w dniu 9 X 1978 r. decyzją ministra Oświaty i Wychowania — Zespół Szkół Rolniczych w Marianowie otrzymał imię chor. Jana Szymańskiego. W czasie tej uroczystości nastąpiło wmurowanie tablicy pamiątkowej oraz otwarcie Izby Pamięci, poświęconej dziejom żołnierza polskiego od września 1939 r. Znajdują się w niej m.in. pamiątki po chor. Janie Szymańskim.

Znaczenie tej placówki dla kraju, a głównie dla rolnictwa regionu, jakim jest województwo łomżyńskie, umacnia fakt jej wytypowania przez Ministerstwo Rolnictwa na miejsce ogólnopolskiej inauguracji roku szkolnego 1984/85.

DANUTA WRONISZEWSKA

punkty wiązania

Jeśli nie może być lepiej, niech przynajmniej będzie inaczej — tyle na razie można powiedzieć o ostatniej reorganizacji w szkolnictwie. Dotyczy ona jedynie zarządzania oświatą i wychowaniem, więc z pewnością jest mniej istotna niż zmiany programów i systemów nauczania, które mamy już za sobą lub... przed sobą, gdyż programy nauczania są w Polsce zazwyczaj tymczasowe.

Ostatnia zmiana wynika, jak to się w Ministerstwie oraz kuratoriach mówi, z ustawy o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego. Jednak zwykły śmiertelnik nie znajdzie w niej niczego, co wskazywałoby na konieczność przeorganizowania administracji oświatowej; wskazuje na nią dopiero szczegółowa interpretacja ustawy. W jej wyniku wszystkie szkoły ponadpodstawowe, specjalne, domy dziecka, wojewódzkie poradnie i pracownie zostaną podporządkowane Wojewódzkiej Radzie Narodowej, a administrowane będą przez Kuratorium Oświaty i Wychowania, więc zasadniczo nie ma tu żadnych zmian. Natomiast szkoły podstawowe i przedszkola będą podlegać radom narodowym stopnia podstawowego, zaś administrowane będą przez urzędy gminne i miejsko-gminne, co w praktyce oznacza, że tam, gdzie nie ma gminnego inspektora, należy go powołać. Administrowanie oświaty na szczeblu podstawowym ma być bowiem zastrzeżone dla terenowych organów administracji państwowej, czyli naczelnika gminy, a okazało się, że gminny dyrektor urzędniczym nie jest.

W dotychczasowej praktyce gmina oświaty i tak podlegała naczelnikowi, choć nie była jednostką przez niego powoływana, a stanowiska obsadzało Kuratorium. W zasadzie więc zmiany te są „w literze”, a nie „w duchu” dotychczas obowiązującego systemu.

Kurator Oświaty i Wychowania miał z tego powodu pracowite wakacje, gdyż znalezienie (wcale nie małej ilości) nowych pracowników oświaty nie było rzeczą łatwą. Sprawa rozbiła się nie tyle o kwalifikacje kandydatów na inspektorów oświaty, co o ich niezbyt wielki entuzjazm w przyjmowaniu zaszczytnego stanowiska. Karta Nauczyciela jest bowiem pod paroma istotnymi względami korzystniejsza niż

CIĄG DALSZY NA STR. 15



W dziejach polskich podziałów dwa z nich wysuwają się na czoło. Pierwszym jest historyczny podział na „naród szlachecki” i pozanarodowe „pospólstwo”, na „panów” i „chłopów”, „ludzi wolnych” i „ludzi ziemi przypisanych”, „ludzi honoru” i „ludzi pozbawionych z urodzenia godności osobistej”. Odcisnął się on na psychice polskiej niezwykle silnie. Wskutek siły liczebnej, ekonomicznej i zdobytych przywilejów prawnych „naród szlachecki” długo bronił anachronicznej, przestarzałej struktury stanowej — nawet za cenę niepodległości państwowej i przegranych zrywów narodowo-wyzwoleńczych w powstaniach XIX wieku. Podział ten odcisnął silne piętno na polskiej kulturze artystycznej, intelektualnej, społecznej i politycznej, dające o sobie znać po dziś.

Coś ze szlacheckiej pogardy dla „chłama ze wsi” i „robota” z budowy zostało w biurach i urzędach. Nieco ze szlacheckiej „jaśniepańskości” opartej na przywileju urodzenia i „dobrego wychowania” (w sensie manier, a nie moralności), wegetuje w wielu środowiskach

Dyskusja panelowa w klubie „Starcia” stanowiła zachętę do namysłu i publicznej rozmowy o polskich podziałach i pojednaniach, które są tematem nowej ankiety „Kontaktów”. Liczymy na różne tezy, diagnozy, opinie w przekonaniu, iż mozaika myśli najlepiej oddaje bogactwa historii i różnorodność teraźniejszości. Do udziału zapraszamy także naszych Czytelników. Dziś wypowiada się prof. dr hab. BRONISŁAW GOŁĘBIEWSKI, prodziekan Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego.

między sojuszem a konfliktem

części świadomą siłą oporu narodowego).

Zamiast silnego podziału: burżuazja — proletariatu i inne klasy pracujące, a przede wszystkim chłop — na ziemiach polskich w tej sytuacji ukształtował się inny podział od końca XIX wieku, środowiskowy

w tym stopniu, w jakim ją stanowiła przed paruset laty. Zupełną, tzn. zamkniętą w sobie, obejmującą wszystkie prawie funkcje życia zbiorowego swoich członków, przeciwstawiającą się społecznościom podobnym: wsiom innym, a także grupom i organizacjom istniejącym poza nią lub ponad nią” („Wybór pism



inteligencji, nawet tej z pochodzenia robotniczej czy chłopskiej. Sporo zostało z sejmikowo-rokoszowej filozofii politycznej szlachecko-klenckiej, wedle której państwo jest dla obywatela, a obywatel dla Rzeczypospolitej tylko wtedy, kiedy on sam łaskawie zechce lub w razie śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Przedłużony żywot struktur szlachecko-stanowych w trzech zaborach i ogromnie opóźniony w stosunku do Europy rozwój gospodarczy ziem polskich spowodowały, że na gruncie polskim nie ukształtował się silny podział na burżuazję i klasy pracujące, a przede wszystkim — proletariatu. Owszem, ten antagonizm istniał, był nie mniej ostry niż w innych krajach. Ale był on zakotwiczony nie na gruncie tradycji narodowej, lecz konfliktu narodowościowo-wyzwoleńczego. Burżuazja występowała jako element nie-narodowy, zaborec, a walka z nią łączyła się ze sprawą niepodległości tak samo silnie (często silniej), jak sprawa wyzwolenia pracy od wyzysku.

Cale ogniwo edukacji, nie tylko państwowej (brak państwa narodowego), lecz także walk, podziałów i kompromisów społecznych oraz — z tym związanej — kultury politycznego działania, „wypadło” w ten sposób z linii rozwojowej naszej narodowej historii. I to tej edukacji, która była tak potrzebna przede wszystkim klasom ludowym. Trwały one jednak „zamknięte” w swej kulturze i obyczajach (lecząc marazm po długiej pańszczyźnie) przeludnionej i zacofanej wsi chłopskiej. Oczywiście — na szczęście — różnie z tym było w różnych zaborach (np. w pruskim chłop był w dużej

bardziej, niż klasowy: na wsi i miasto. Był on odczuwany głównie przez wioskową, lecz i drobnomieszczańską miasto eksponowało ten podział. Kamuflował on zasadniczy antagonizm klasowo-ekonomiczny. Ale także odzwierciedlał zapóźnienie ekonomiczne i struktury społecznej, która przestała być stanowo-feudalna, a nie stała się nowoczesnie kapitalistyczna. Pozostała czymś pośrednim, „na pograniczu”. Czymś również ilościowo i w potencjale ekonomicznym drobnomieszczańsko-chłopskim.

W ślad za tym inaczej ukształtowały się niż w innych krajach podziały klasowe na wsi, wśród samych chłopów. Powstała tam struktura bogatych patronów i ich klientów podobna do dawnej struktury szlacheckiej drobnej w stosunku do magnatów, nie zaś typowo kapitalistyczna struktura z podziałem na kapitalistów wiejskich, średniaków i biedniaków czy wreszcie proletariatu wiejskiego (ta ostatnia grupa zresztą wyodrębniła się najbardziej).

Pisał na ten temat w pracy „Podłoże ruchu chłopskiego” Stefan Czarnowski w 1935 r.: „Jedność i spójność chłopska, chłopów zamożnych i biedoty wiejskiej, patronów i klientów, mieści się w ramach solidarności gromadzkiej, sąsiedzkiej, wioskowej i wzmocniona jest przez nią w tej mierze, w jakiej ta ostatnia jest jeszcze żywa. Solidarność wszystkich mieszkańców wsi ma uzasadnienie głębokie. Nie wchodząc w szczegóły wskażemy tu tylko fakt, że na stopniu gospodarki naturalnej — a na tym stopniu rozwoju gospodarczego stoi chłop europejski w olbrzymiej większości wypadków — wieś stanowi lokalną społeczność zupełną niemal

socjologicznych”. Warszawa 1982, s. 177.

Wynikało to nie tylko z podłoża ekonomicznego i historycznego, lecz także odmienności interesów i stylu życia. Czarnowski pisze w zakończeniu tej pracy na str. 196: „Stowem mamy na wsi i w mieście do czynienia z dwoma odrębnymi społecznościami, stosującymi w życiu codziennym zupełnie odmienne zasady. Wieś przeciwstawia się przetwarzającemu, kupującemu i urzędującemu miastu jako całość mająca poczucie swej odrębności”.

Warto przypomnieć ten stan rzeczy sprzed pół wieku, bowiem na tych m.in. zjawiskach zasadza się specyfika drogi polskiej wsi do socjalizmu, a tym samym specyfika — obok uniwersalnych, głównych cech — „polskiej drogi do socjalizmu” w ogóle. Brak ognia silnego podziału burżuazja — proletariatu i chłopów w ramach własnego narodowego państwa oznaczał także inne mechanizmy rozwoju świadomości społecznej i kultury.

Zawsze więcej do powiedzenia w sprawach pojednania narodowego w społeczeństwie polskim miał ktoś niż państwo, ugrupowania zbrojne (np. powstańcze) niż partie polityczne. I tak było aż do sanacji, zamachu majowego, do września 1939 r. W gruncie rzeczy 40-lecie Polski Ludowej jest dramatycznym, częściowo tylko udanym (ale czy mogło się to w pełni udać w tak krótkim historycznie czasie?), wielkim wysiłkiem nadrobienia tych zapóźnień i braków w edukacji państwowej, społecznej, politycznej, świadomościowej; przełamania bariery wieś — miasto, łączyzacji życia

społecznego itp. Np. ten ostatni, tak trudny problem, w normalnie rozwijających się krajach burżuazyjnych — jak wiadomo — załatwiała burżuazja i jej państwo w jej interesie. W Polsce musiał to wziąć na siebie, w bardzo niekorzystnych warunkach, ustrój socjalistyczny. Ile z tego wynikało problemów, wkładów do kolejnych kryzysów, przetargów przy kolejnych pojednaniach — nie trzeba tu chyba przypominać...

Jest rzeczą znamionną, iż obydwa nurty polskiego bogatego ruchu mas ludowych od końca XIX w. — robotniczy i chłopski — długo nie mogły się spotkać w sojuszniczej działalności antyburżuazyjnej. A często boczyły się na siebie właśnie na zasadzie sprzeczności wieś — miasto.

Nie jest przypadkiem wystąpienie w polskim ruchu robotniczym tendencji niedoceniania siły i znaczenia kwestii chłopskiej i klasy chłopskiej. Podobnie jak jej przeceniania w wielu ogniwach ruchu ludowego, upatrującego w chłopach główną siłę przyszłego ustroju, co już w II Rzeczypospolitej było anachronizmem.

Nie jest przypadkiem, że tylko w Polsce nie powiodły się usiłowania przyspieszonej kolektywizacji rolnictwa. Tzn. nie tylko sposób przeprowadzenia tej kolektywizacji odegrał tu rolę, lecz cały kompleks tradycji, dotychczasowej solidarności wsi w przeciwstawianiu się „kupczemu i urzędującemu” miastu, religijność ludowa, inna struktura zależności biednych od bogatych na wsi polskiej. Wszystko to nadal trzeba brać pod uwagę, gdy w roku 40-lecia Polski Ludowej mówimy o dylemacie podziałów i pojednań...

Sojusz robotniczo-chłopski w Polsce Ludowej jako podstawa ustroju państwowego nigdy nie miał silnej strony politycznej. Tradycja politycznego sojuszu była nikła, wypracowana głównie przez PPR i SL w czasie okupacji i po wyzwoleniu, w dobie walki o władzę ludową. Próba przyspieszonej kolektywizacji w latach 1949—1954 dodatkowo postrzępiła te nici, które istniały.

Sojusz robotniczo-chłopski w Polsce Ludowej to głównie sojusz wsi z miastem na zasadzie ekonomicznej i możliwości awansu w mieście nadmiaru (a potem już i w warunkach deficytu) mieszkańców wsi, którym ziemia nie dawała chleba (lub potem nie odpowiadała w ramach możliwości wyboru zajęcia i miejsca zamieszkania w Rzeczypospolitej Ludowej). To były podstawy trwałe, choć najeżone także sprzecznościami. Lecz wspólnota interesu w tej materii przeważała. Czas teraz na umacnianie politycznej płaszczyzny sojuszu robotniczo-chłopskiego.

Nie ma trwałego porozumienia narodowego głównych sił społeczno-klasowych między sobą — porozumienia społecznego. Klasa chłopska zmieniła się znacznie. Tradycyjna klasa chłopska już prawie w Polsce nie istnieje. Ale współcześni chłop-rolnicy, wskutek słabości płaszczyzny politycznej sojuszu robotniczo-chłopskiego przez ostatnie 33-lecie, dziedziczą te same lub bardzo podobne kompleksy i uprzedzenia wobec miasta.

A często i wobec potężniejszego sojusznika — klasy robotniczej. Podobnie zresztą, jak ta klasa, w swej dużej części pochłopska, nabrała wiele uprzedzeń (aż dziw bierze, skąd się to wzięło!) do chłopów i wsi. Warunki kryzysu sprzyjają wzajemnym wyrzutom, przyganom, licytaczom, kto więcej traci i kto więcej łoży na zażegnanie kryzysu: robotnicy czy chłop, miasto czy wieś? W wielu artykułach, a nawet broszurach, pojawia się pytanie: sojusz czy konflikt?

Oczywiście, konflikt jest subiektywnym odczuciem, a nie faktycznym stanem rzeczy. Takie generalne przeciwstawienie może być na rękę tylko biurokracji i siłom antyporozumieniowym. Ale problem istnieje. Jest to podstawowy problem współczesnego dylematu podziałów i pojednań w naszym społeczeństwie. W tym szkicu chciałem tylko wskazać na jego podłoże historyczne. Analiza stanu to osobny problem.

BRONISŁAW GOŁĘBIEWSKI

polskie podziały i pojednania



Jaka rolę spełnia Wojewódzka Poradnia Wychowawczo-Zawodowa i jej rejonowe placówki. Trafiają do nich rodzice z dziećmi, które nie radzą sobie w szkole, sprawiają kłopoty wychowawcze, jakąś się lub zdradzają inne wady uniemożliwiające im uczenie się i normalne obcowanie z otoczeniem. Spotykają się tu wszelkie rodzicielskie troski i zmartwienia, aby pożywić się nadzieją na bezkompleksowe i wolne od dramatów życie dzieci.

Zalążkiem przyszłego (często skrywanego) dramatu nie musi być wcale widoczna wada fizyczna; może nim być nieumiejętność najprostszego myślenia przyczynowo-skutkowego u sześciolatka czy choćby zwykła niezgrabność, będąca brakiem umiejętności manualnych. A wybór kształcenia po ukończeniu podstawówki to także sprawa niezwykle ważna.

— Oczywiście — potwierdzają panie, z którymi rozmawiam w Wojewódzkiej Poradni Wychowawczo-Zawodowej — Helena Sutyniec, dyrektorka, i Hanna Mężyńska, logopeda.

— Funkcja terapeutyczna oraz poradnictwo wychowawcze i zawodowe to główny cel naszego działania. Jest i trzecia sfera — mówi Helena Sutyniec — badawcza, służąca projektowaniu naszej pracy i formułowaniu wniosków pod adresem administracji oświatowej. No i obowiązki wynikające z wojewódzkości naszego statusu, a więc nadzorowanie placówek rejonowych, opieka merytoryczna nad młodymi specjalistami, zapewnianie kontaktu z wybitnymi fachowcami w dziedzinach wchodzących w zakres naszego działania. I, rzecz jasna, codzienna działalność na terenie naszego rejonu.

— Trudno się domyślić tego za wyblakłym szyldem i odrapanymi drzwiami jednego z najbardziej zaniedbanych budynków w centrum Łomży.

— Pół biedy — wyjaśnia druga z pań — mieścimy się od frontu, ale Poradnia Rodzinna ma wejście od drugiej strony, a do tego zupełnie odstręcające.

— Wyposażyliśmy nasze pracownię we wszelki sprzęt do badań psychofizycznych — prezentuje placówkę dyrektorka — prowadzimy zajęcia logopedyczne i dla dzieci znerwicowanych, udzielamy porad wychowawczych i zawodowych, a wciąż muszę tłumaczyć zjawiającym się co pewien czas różnym urzędnikom, którzy przychodzą mierzyć nasze „pomieszczenia biurowe”, że nie są one zbyt obszerne. Prawie wszystkie nasze działania mają charakter intymny, bardzo często mogą się odbywać tylko pod warunkiem anonimowości. Aby charakter badań nie stał się przedmiotem zainteresowania postronnych osób, przy sprzyjającej pogodzie wypada nam „ukrywać się” na najbliższym skwerku.

Oglądam gabinety do tej trudnej, specjalistycznej, leczniczo-edukacyjnej pracy i widzę, że pomysłowość pań zdołała zamaskować klitkowość pomieszczeń, choć — przytwierdzone do ścian — odkładane kozetki do zajęć korekcyjno-kompensacyjnych straszą nieco skojarzeniami z... miejscami odosobnienia.

To tu dziesiątki dzieci z mikrodefektami, po kilkumiesięcznych zabiegach, uzyskują możliwość uczęszczania do zwykłych, a nie specjalnych szkół, w których i tak wciąż brakuje miejsc. Tutaj Hanna Mężyńska i Halina Miller (pionierka logopedii w Łomży) wyrzucają dzieci z getta nieartykułowanego belkotu, a jakajacym się odkrywają możliwość gładkiego pokonywania dźwiękowego „toru przeszkód”.

Nie tylko osiągnięcia logopedów zapisują łomżyńska placówka na zauważalnej pozycji w kraju; także prowadzone badania, z których najciekawsze to kompleksowy przegląd sześciolatków dla ustalenia, czy i w jakim stopniu osiągnęły one tzw. dojrzałość szkolną.

Znane są kłopoty młodzieży i rodziców z wyborem zawodu, szczególnie w przypadku absolwentów szkół — podstawowych. Łomżyńskie jest ubogie w szkoły średnie i zawodowe. Wiąże się to z niskim uprzemysłowieniem regionu, a także — co szczególnie niepokoi kierownictwo i pedagogów Przychodni — szczerkowym stanem usług, które przecież mogą i powinny wchłaniać znaczny odsetek

JAN BALDRIAN

rada na życie

Słowo „poradnia” ma w potocznym rozumieniu znaczenie wiążące je z zabiegami kuracyjnymi, z tłumaczeniem komuś, co jest nie całkiem zdrowe lub stanowi jakąś trudność. „Poradnie mają pomóc w biedzie, a nie podpowiadać, w jaki sposób zwiększyć przyjemność” — myślimy widząc jakikolwiek szyld z tym słowem.

młodzieży po szkołach podstawowych.

— W Łomży jest jeden zegarmistrz z prawem nauczania tego zawodu — ilustruje sytuację Helena Sutyniec — który, ze względu na podeszły wiek, jak również bardzo solidne traktowanie obowiązków nauczyciela, może przyjąć jednego ucznia w roku.

Interesujące badania sondażowe przeprowadziła Poradnia w minionym roku szkolnym wśród ósmoklasistów Szkoły nr 3 w Łomży. Jego celem było określenie stopnia trafności wyboru przyszłego kształcenia w stosunku do możliwości psychofizycznych uczniów, a także ustalenie preferencji zawodowych uczniów. Nie bez znaczenia było również wytypowanie czynników zewnętrznych kształtujących orientację zawodową tej młodzieży. Badania przeprowadzono w dwóch etapach. W październiku i listopadzie ub. roku przedstawiono 95 uczniom (47 dziewcząt i 48 chłopców) „Kwe-

stionariusz zainteresowań”, składający się z 216 pytań charakteryzujących najbardziej typowe czynności, wykonywane przez pracowników różnych zawodów: spożywczych, budowlanych, włókienniczych, pocztowych, handlowych, drzewnych, naukowych, sportowych i innych. Drugi etap, w maju br., polegał na rozmowach z uczniami i pedagogiem szkolnym. W rezultacie powstał wykaz obranych przez młodzież kierunków kształcenia. Między etapami odbyło się spotkanie z rodzicami na temat możliwości i kierunków kształcenia w naszym kraju.

W większości przypadków młodzież wybrała konkretne czynności w poszczególnych profesjach. Największym powodzeniem cieszyły się zawody mechaniczno-elektryczne (26,3 proc.) i ekonomiczne (21 proc.); najmniejszym — budowlane i rolnicze. Badanie pozwoliło ustalić, że młodzież najchętniej wybiera zasadnicze szkoły zawodowe (45 proc.),

a wśród pozostałych — prawie równym powodzeniem cieszą się licea ogólnokształcące i średnie szkoły zawodowe. Dość optymistycznie oceniają autorzy ankiety trafność wyboru młodych łomżyńiaków, bowiem tylko w 10,5 proc. przypadków wybór przyszłych czynności zawodowych okazał się niezgodny z rzeczywistymi możliwościami psychofizycznymi uczniów. Około 18 proc. ankietowanych zmieniło decyzje zawodowe, przy czym największe zmiany dotyczyły kierunków na poziomie zasadniczym i na ogół w jednej (szerszej) grupie zawodowej.

Okazało się także, że aż w 50 proc. wpływ na wybór zawodu mają rodzice, w jednej trzeciej była to decyzja samodzielną, zaś w pozostałych 29 proc. przyczynili się do niej starsi koledzy lub rówieśnicy, Poradnia i inne osoby.

Porównanie badania łomżyńskiego z podobnym, przeprowadzonym przez Instytut Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, prowadzi do wspólnych uogólnień. Mianowicie obserwuje się zwiększony napływ młodzieży do zasadniczych szkół zawodowych, co wiązać należy nie tylko z wprowadzeniem egzaminów wstępnych do szkół średnich, ale również z ukonkretnieniem ambicji życiowych, zwracaniem uwagi na realne podstawy i rzeczywiste możliwości. Ważne jest i to, aby wybrana droga życiowa w najbliższym czasie dawała wymierne rezultaty, choćby w postaci opłacalnego i szanowanego zawodu. Krakowskie badania potwierdzają również pierwszoplanową rolę rodziców w wyborze zawodu.

A więc nie „sily na zamiary”, lecz pozytywistyczny „zamiar według sił” staje się powoli zasadą wyboru swojego miejsca w społeczeństwie?

— Tak — odpowiada dyrektorka. — Lecz jednocześnie widać, że tradycyjny wpływ domu pozostał nadal duży. Z tego wynika dla nas wskazówka, aby w programie działalności Przychodni uwzględnić to zjawisko.

W pracy Poradni — jak w soczewce — skupiają się najważniejsze problemy oświaty; także i te, które wymykają się szkole, jak choćby widoczny wpływ nieobecności ojców harujących przez kilka lat za „zielone” (trudności wychowawcze z ich dziećmi) czy masowa nadpobudliwość wśród uczniów pierwszych klas, co niechybnie obniży wyniki nauczania, jeśli nie zastosuje się środków zaradczych, np. w postaci umożliwienia większej liczbie tych dzieci uczestnictwa w zajęciach w zespołach nerwicowców (zachęcające są w tej mierze wyniki Joanny Dardzińskiej-Madry, psychologa w łomżyńskiej Poradni), a także przygotowania nauczycieli do tej odmiennej sytuacji pedagogicznej i dydaktycznej.

Inna domena Poradni to diagnozowanie zjawisk rodzących się w otoczeniu oświaty na przecieciu jej oddziaływań z oczekiwaniami społecznymi (w tym również np. modami na pewne zawody) i wymogami gospodarki. To niezwykle istotny w planowaniu społecznym czynnik orientacji zawodowej i szkolnej, który powinien być uwzględniony w planowaniu gospodarczym i edukacyjnym.

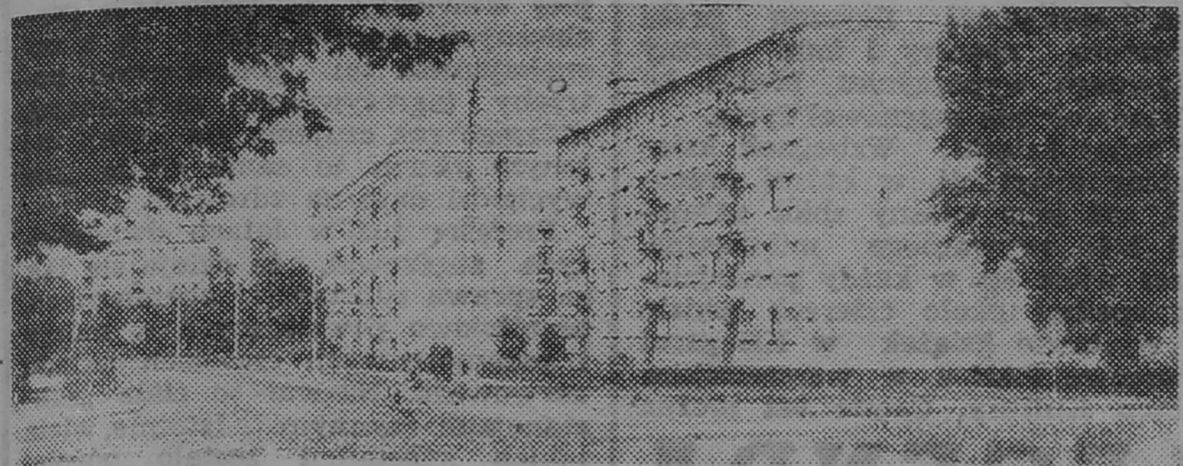
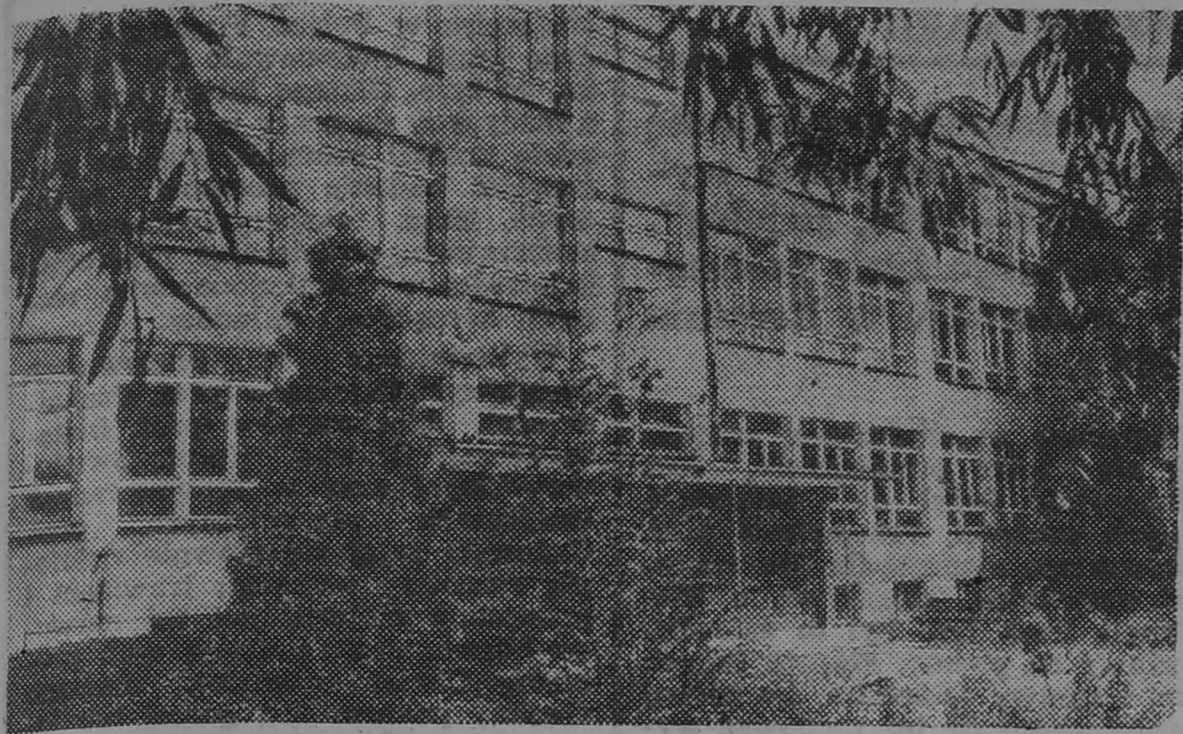
Na koniec (choć ujęty zapalem i zaangażowaniem pracownice Poradni) nie mogę sobie odmówić złośliwej przyjemności zapytania pani dyrektorki: — Czy poza skutecznością waszych działań terapeutycznych, satysfakcją z udanego, choć niezbyt popularnego jeszcze doradztwa pedagogicznego i zawodowego, które z wniosków został zrealizowany, jak choćby ten, że należy na pewien czas ograniczyć kształcenie ekonomiczne, bo od dawna absolwentki tych liceów z największym trudem znajdują zatrudnienie?

— Nie, o takim sukcesie jeszcze nie możemy mówić, ale wnioski bardziej szczegółowe, jak choćby zorganizowanie dobrej współpracy naszych placówek z pedagogami szkolnymi i lekarzami neurologami w przychodniach, udaje się realizować. Przestajemy być zamkniętymi pracowniami dla dzieci upośledzonych i zakompleksionych. A nasze badania orientacji zawodowej, jestem o tym przekonana, powinny wpłynąć na większe dostosowanie do realiów życia organizacji nauczania. A może także, w jakiejś części, przyczynia się do zmiany tych realiów?

Fot. STANISŁAW HOROSZ

bez kompleksów



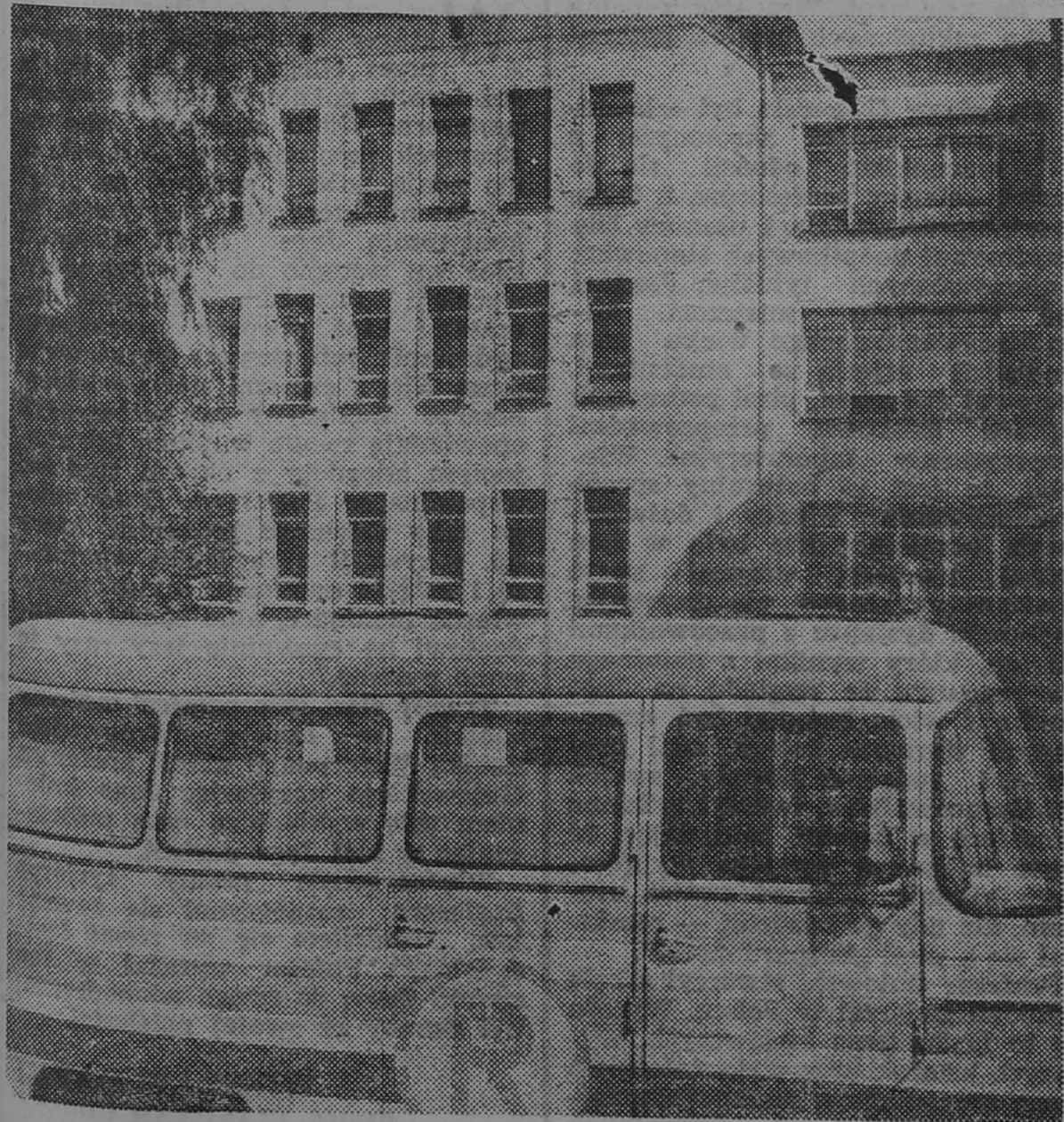
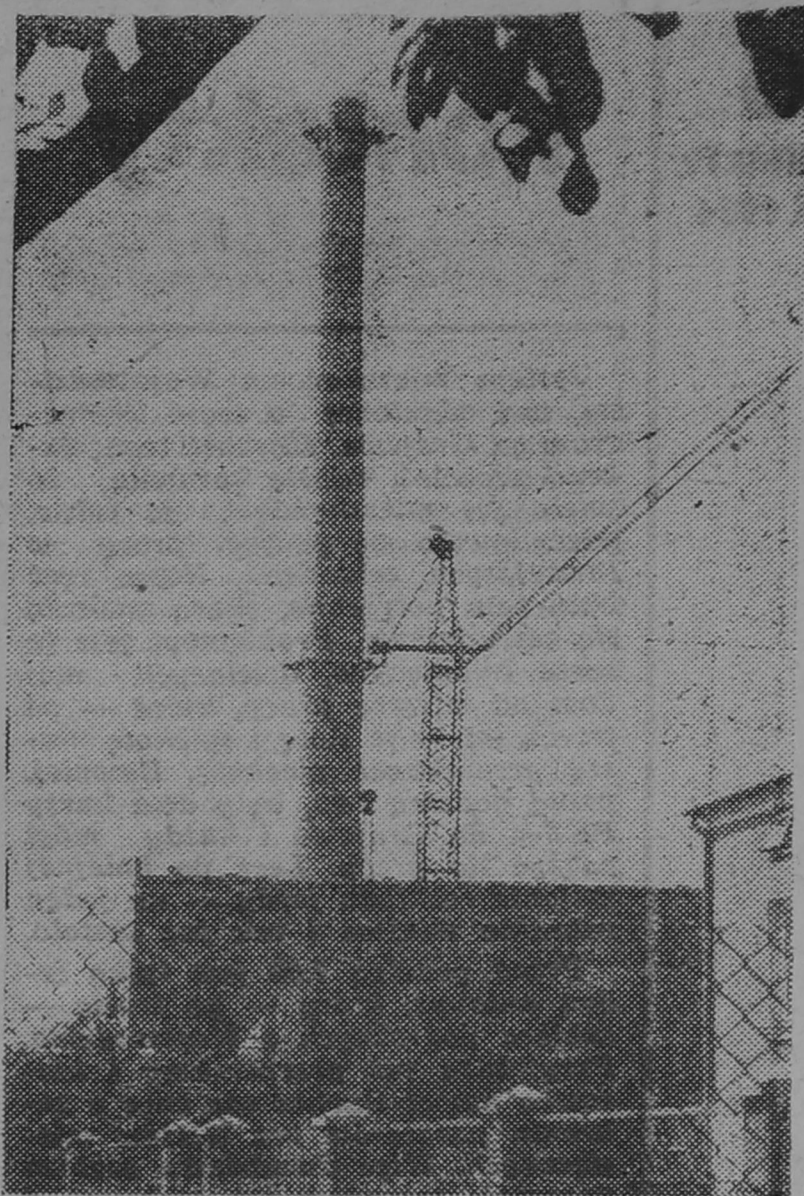


Leży nad rzeką Brok, 110 metrów nad poziomem morza. Zostało założone w roku 1499 na polecenie ks. Aleksandra Miejskie prawa magdeburskie otrzymało od króla Aleksandra II w roku 1503. Było wówczas ośrodkiem rzemieślniczo-handlowym, głównie szewców (cech od 1524) i kuźnierzy (od 1552).

W okresie międzywojennym ludność zajmowała się rolnictwem, drobnym handlem i rzemiosłem. W roku 1939 miasto liczyło niespełna 5000 mieszkańców, a w 1946 — zaledwie 2000. Zniszczenia wojenne zostały szybko usunięte. Powstały nowe bloki mieszkaniowe i szpital; wybudowano domy towarowe, restaurację, szkołę i cztery przedszkola.

Dziś miasto liczy około 7000 mieszkańców utrzymujących się m.in. z pracy z przetwórní owocowo-warzywnej, zakładzie mleczarskim i przetwórstwa mięsnego oraz Spółdzielni Zabawkarskiej „Niedźwiadek”.

Tekst i zdjęcia
GABORA LÖRINCZEGO



Wysokie Mazowieckie 40 LAT
MINĘŁO...

kontakty kontaktów

Jestem mieszkańcem Wojewódzina, wsi oddalonej o sześć kilometrów od Grajewa. Bliskość tego, dużego przecież, miasta sprawiła, że wielu jej mieszkańców, ja także, zdecydowało się podjąć pracę w tamtejszych zakładach. Nasze ręce były tam potrzebne, skoro znalazło się zatrudnienie. Problemem jest te sześć kilometrów, dzielących mój dom od miejsca pracy, które — od trzech lat — w słońcu i upale muszę przemierzać piechotą. Dawniej, przed godziną 7.00, były dwa kursy PKS-u do Grajewa i każdy mógł zdążyć do pracy. Lecz po kolejnej zmianie rozkładu jazdy — na jeden zabrakło miejsca i tak już zostało.

Przed godziną 7.00 jest tylko jeden autobus, który — po trasie — zabiera podróżnych z Wojewódzina. Przyjeżdża już przepelniony i kierowca nawet słuchać nie chce o zabraniu pasażerów bez biletów miejscowych. Więc dwudziestu osobom pozostaje transport też osobowy i niezawodny — własne nogi, gdyż o bilecie miesięcznym można tylko pomarzyć. Zarówno na skromne próby ustne, jak i pisemne — opatrzone pieczętkami i autorytetem zakładu pracy — odpowiedź PKS-u jest jedna: na trasie Wojewódzin-Grajewo w godzinach rannych brak miejsc.

Interweniowaliśmy więc, by przywrócić drugi kurs, ale bez skutku. Dyrekcja PKS-u informuje, że nie ma takich możliwości, a szef działu do spraw przewozów, zapytany przez zdesperowanego robotnika, czym ludzie mają dojeżdżać do pracy, udziela jednoznacznej odpowiedzi — nie interesuje go to.

Więc do kogo z tym pójść?

ANDRZEJ KOĆWIN
WOJEWÓDZIN

★

W związku z publikacją artykułu pt. „W świat ruszył znad Pisy, Wisły i Narwi” jego autor, doc. Adam Dobroński, otrzymał list, który niżej zamieszczamy.

Jestem synem Bohdana Winiarskiego. Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem wspomnienia o moim ojcu, opublikowane w nr. 20 „Kontaktów”, i — jak zawsze w takich przypadkach — z pewnym niepokojem, czy autor nie popełnił w nich istotnych pomyłek lub też tendencyjnie nie pominął pewnych podstawowych nurtów pozanaukowej działalności mojego ojca.

Chcę bardzo podziękować za tak dobrze wyważony, obiektywny, a równocześnie życzliwy artykuł.

Stuszenie uwypuklone zostały związki ojca z Ziemią Łomżyńską, tym bardziej że były one traktowane po macoszemu w innych, bardziej oficjalnych wspomnieniach, a nie były — jak wiemy — marginesem, lecz stanowiły jeden z podstawowych wątków, które przewijały się przez całe jego życie.

MACIEJ S. WINIARSKI

★

W 25 wydaniu tygodnika zamieściliśmy list samotnego, starszego człowieka, który za pośrednictwem pisma pragnął nawiązać kontakt z kimś, kto zechciałby mu pomóc. I oto jest odpowiedź. Cieszy nas, że nasze pismo zbliża ludzi, ułatwia wzajemne kontakty.

W „Kontaktach” z 24.06.1984 r. przeczytałam Pański list z prośbą o pomoc w samotnej egzystencji starszego człowieka.

Otóż byłam niegdyś opiekunką Komitetu Pomocy Społecznej. Opiekowałam się ludźmi w podeszłym wieku. Niesienie pomocy chorym i samotnym jest moją pasją. Może akurat Panu również mogłabym pomóc. Proszę do mnie napisać.

CECYLIA MICHALAK
ŁOMŻA

POTRETY MISTRZÓW WETERYNARI

Na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie znajduje się skromny grób, pokryty płytą z piaskowca, na której wyryto jedynie: „Bolesław Gutowski, 1888—1966, fizjolog”. Ten krótki zapis nie odzwierciedla bogatego życia profesora, dr. habilitowanego medycyny urodzonego w Rzewniu (woj. łomżyńskie) w dniu 21 IX 1888 r.

Profesora poznałem w 1951 r., kiedy miał już 63 lata. Średniego wzrostu, o pochyłonej postaci, mocnych rysach twarzy i żywym spojrzeniu — rzucanym spoza niesforne opadających na czubek nosa okularów — zwracał uwagę otoczenia. Krążyło o nim wiele anegdot, które często śmieszyły studentów, ale teraz, z perspektywy lat, oceniam je jak — głębokie myślowo — przysłowia. O przeciętnym człowieku anegdot się nie opowiada. Profesor uniwersytetu bez legendy studenckiej, to pusta postać. Bolesław Gutowski był i dotychczas jest postacią legendarną nie tylko dla swoich byłych studentów, ale i następnych pokoleń. Dlatego warto przekazać o nim rzeczywistość.

Kim zatem był profesor Gutowski? Otóż — chłopskim dzieckiem,

w zajęciach ze studentami znajdował nie tylko przyjemność, lecz jednocześnie dążył do tworzenia nowych wartości. Pracowitość prof. Gutowskiego zjednywała mu szacunek wszystkich, którzy się z nim zetknęli. Poza tym był to człowiek wrażliwy na piękno, kłopoty innych ludzi i sprawy społeczne. Do późnej starości starał się też zachować wysoką sprawność fizyczną przez ćwiczenia, spacer i inne formy aktywnego wypoczynku. Można by powiedzieć: nie marnował życia.

Kochał książki. Wzbogacił się gozbiór instytucji, w której pracował, zaś jego własny zbiór zajmował 3/4 prywatnego mieszkania. Przez wiele lat w każdy poniedziałek spędzał około czterech godzin na wystawie książek w Księgarni Wzorcowej PAN-u w warszawskim Pałacu Kultury. Często też można

PRAWDA I LEGENDA



BOLESŁAW GUTOWSKI

które dzięki swej pracowitości, uporowi oraz zdolnościom zdołało pokonać wszystkie przeciwności losu, aby osiągnąć niezwykłą, na owe czasy, pozycję społeczną — profesora uniwersytetu. Nigdy nie zapomnieliśmy jednak o ziemi łomżyńskiej. Miejsce urodzenia niewątpliwie determinowało patriotyczną postawę profesora, i to od lat najmłodszych aż do końca życia. Dał on temu wyraz w czasach gimnazjalnych, czynnie uczestnicząc w aktach oporu przeciw rusyfikacji szkoły, za co został z niej usunięty z tzw. wileczym biletem. Po I wojnie światowej aktywnie uczestniczył w odbudowie nauki polskiej jako asystent i docent Wydziału Medycznego Uniwersytetu Warszawskiego, a następnie — od 1930 r. — twórca i pierwszy kierownik Katedry Fizjologii Zwierząt na Wydziale Weterynaryjnym.

Brał udział w kampanii wrześniowej. W latach 1944—1946 organizował Studium Weterynaryjne dla Polaków przy Veterinary College w Szkocji. Dowiedziawszy się o odrodzeniu szkolnictwa wyższego w Polsce — wrócił do kraju w 1947 r. i podjął pracę na Wydziale Weterynaryjnym, w pełni akceptując zastane tu struktury i porządek.

Jego patriotyzm przejawiał się również w pozytywistycznym, niemal judymowskim, podejściu do pracy. Na każdy dzień, tydzień i rok miał z góry określony program. Głównym celem jego życia była praca badawcza, którą traktował niemal jako hobby. W niej i

Go było spotkać w zagranicznych ośrodkach kultury w Warszawie. Ostatnie Jego wyjście z domu — na 2 dni przed śmiercią — to spacer do księgarni. Wracając z pełną teczką zakupionych książek potknął się i upadł.

Profesor Gutowski był człowiekiem bardzo skromnym; z szacunkiem odnosił się do swoich kolegów profesorów, a także do współpracowników i uczniów. Nie przyjmował dodatkowych stanowisk i niezasłużonych tytułów. Pragnął być wzorowym mistrzem. Mimo zaawansowanego wieku sam prowadził zajęcia ze studentami, operował zwierzęta, pisał podręcznik i prace naukowe, przeprowadzał eksperymenty laboratoryjne. Wiedział, że jest to naturalny sposób przekazywania wiedzy i doświadczenia uczniom. Nie było w tym żadnej maniery, pragnął uczyć własnym przykładem, nie stwarzając większego dystansu z pracownikami niż ten, który wynikał z należącego mu szacunku ze względu na Jego wiedzę i wiek. Pragnął być szanowanym starszym kolegą, znał prywatne i rodzinne kłopoty swoich współpracowników, tworzył rodzinną atmosferę w uczelni, zakładając, że praca badawcza wymaga wyjątkowego klimatu. Wierzył swoim uczniom, ale gdy go zawiedli — rozstawał się z nimi „bezpardonowo”.

Profesor Gutowski stworzył szkołę fizjologii zwierząt w Polsce. Wyraża się to liczbą prac badawczych, wydanych książek oraz wykształceniem grona pracowników naukowych, zajmujących wiele odpowiedzialnych

stanowisk w Polsce. Fizjologia była Jego pasją. Interesowało Go wszystko, co żyje. Dlatego łatwo przeszedł z medycyny do pracy w weterynarii, gdzie znalazł znacznie większe możliwości badania procesów życiowych. Mógł eksperymentować na zwierzętach, wydzierając przyrodzie tajemnice o funkcjonowaniu różnych narządów i układów.

Wykształcony w pracowniach światowych fizjologów (prof. Czubałskiego), biochemików (prof. Białoszewicza), fizyków (prof. Świętosławskiego) oraz w renomowanych instytucjach zagranicznych, prof. Gutowski zajął się głównie fizjologią rozrodu zwierząt, trawienia i przemiany materii, jak też nerwowo-hormonalną regulacją tych procesów. Chciał wiedzieć, dlaczego zjadany pokarm jest gorzej lub lepiej trawiony, dlaczego tyle psychicznych aspektów łączy się z zaspokajaniem tej podstawowej potrzeby (agresywność, satysfakcja), dlaczego raz czujemy się lepiej, zaś innym razem to samo danie „nie wychodzi nam na zdrowie”.

Profesor już w latach dwudziestych sugerował, że dzieje się tak za sprawą substancji chemicznych, przejściowo powstających w mózgu i pozamózgowych częściach układu nerwowego. Nazwał te ciała „substancjami czynnymi”. Istotnie, wiele takich substancji zostało później odkrytych i opisanych. Współczesna nauka fizjologiczna to właśnie działanie funkcji tych różnych regulatorów, pojawiających się przejściowo w tkankach, głównie w mózgu.

Prace badawcze prof. Gutowskiego w dziedzinie rozrodu zwierząt dotyczyły również regulacji rozmnażania, a więc działania hormonów w gonadach i innych narządach. Wszystkie te badania dały podwaliny współczesnym kierunkom badawczym fizjologii weterynaryjnej.

Zwierzęta gospodarskie, np. szybko rosnące świnię, wysokomleczne krowy, produkują składniki odżywcze dla ludzi przetwarzając pasze roślinne. Zważywszy fakt, że dzisiaj krowa musi pobrać 3—4 razy więcej paszy niż jej poprzedniczka, można sobie wyobrazić, jak przebiega u niej procesy trawienne. Jej organizm jest jakby małą fabryką przetwarzającą pokarm w mleko, a ponieważ jest to bardzo wydajna maszyna — wszystkie jej trybiki, łańcuszki, kanaliki muszą być znacznie lepiej z sobą zsynchronizowane niż u krowy sprzed 100 lat.

Przez analogię można by mówić o rozmnażaniu zwierząt, które — w wyniku wysokiej ich produktywności — często ulega zaburzeniom, przynosząc olbrzymie straty w postaci tzw. nieplodności. Profesor Gutowski ponad pół wieku temu przewidział taki towarowy rozwój hodowli zwierząt, wyznaczył jego krytyczne punkty i nakreślił przyszłe kierunki badawcze. To, że dzisiaj coraz skuteczniej walczą się z nieplodnością krow, świń i innych zwierząt oraz zestawia się coraz lepsze dawki pokarmowe, jest w dużym stopniu zasługą profesora Gutowskiego.

Wychował On wielu uczniów, którzy kontynuują rozpoczęte przez Niego badania. Działają już trzecie pokolenie wychowanków profesora. Wielu znanych obecnie uczonych zapomnielo o Gutowskim; nie zdają sobie sprawy, że „idą” ścieżkami, które On wytyczył, że kontynuują Jego myśli. Czasami ktoś we wstępie do swojej pracy wymieni nazwisko Gutowskiego, czasami ktoś otworzy rozsypany podręcznik lub skrypty opracowane przez Niego, czasami starsi wiekiem lekarze medycyny lub weterynarii opowiadają swoim wnukom lub znajomym anegdoty z okresu studiów, wspominając Bolesława Gutowskiego jako dziwnego profesora, który np. przywoził z zagranicy aparaty i książki naukowe, zakupione za własne pieniądze, albo zadawał studentowi na egzaminie trzy razy to samo pytanie.

Trwały ślad Jego pamięci możemy znaleźć w Łomży. Wojewódzki Zakład Weterynarii uczcił profesora Gutowskiego nazywając Jego imieniem salę wykładową oraz umieszczając w niej Jego portret.

Własnoręcznie pisany życiorys Profesora rozpoczynał się zawsze tak: „Urodziłem się na ziemi łomżyńskiej”. Profesor wyrażał w ten sposób dumę ze swego pochodzenia; był dumny ze swojej polskości.

WIESŁAW BAREJ
Reprod. STANISŁAW HOROSZ



W raporcie o stanie szkolnictwa powszechnego w powiecie łomżyńskim za rok 1948 prze-
czytać można, iż istniały w tym
czasie już 192 szkoły z 18 697 dzie-
ćmi i 398 nauczycielami. Połowa
szkół mieściła się w budynkach wy-
najętych, a w 46 placówkach były
zaledwie po cztery sale lekcyjne.
Bardzo dużo, bo aż 1450 dzieci, w
ogóle nie pobierało nauki, a mniej
więcej 50 proc. nauczycieli nie
miało wymaganych kwalifikacji.
Przeciętnie każda szkoła posiadała
we własnej bibliotece 44 książki;
jedną na troje dzieci. We wszyst-
kich, na potrzebnych 6700 ławek —
było zaledwie 2056, na 469 stołów —
195, na 804 krzesła — 210, 335 ta-
blic — 220, 469 szaf — 81, a na 335
umywalni — tylko 31. W wielu
szkołach brakowało też ubikacji, a
niemal każda cierpiała zimą na
niedostatek lub całkowity brak o-
pału. Spisy przeprowadzone w maju
i czerwcu 1948 wykazały 4263 anal-
fabetów. A przecież nie objęły one
całego powiatu.

Taki był stan szkolnictwa łom-
żyńskiego trzy lata po zakończeniu
wojny. Przypomnijmy, jak na dzi-
siejsze wyobrażenia, ale jakże różny
w porównaniu z tym, od którego
przechodziło startować w nowe ży-
cie 13 września 1944 roku.

— Już następnego dnia po wy-
zwoleniu Łomży — wspomina Fran-
ciszek Wasążnik, pierwszy inspektor
szkolny w byłym powiecie łomżyń-
skim — radzieckie władze wojskowe
zapropowały wszystkim nauczy-
cielom i pracownikom administracji
w oświacie spotkanie, na którym
omawiane były możliwości jak naj-
szybszego rozpoczęcia nauki w szko-
łach. Konferencja odbyła się w jed-
nym z trzech ocalałych budynków
przy ulicy Św. Mikołaja. Przyszło
na nią blisko 50 proc. przedwojen-
nych nauczycieli. Sprawa była
krótka: mamy w ciągu 3—4 dni

watne lekcje dla grupki uczniów
jeszcze z tajnego nauczania. Mieli
niedługo zdawać egzamin matural-
ny, tymczasem nadejście frontu
pokrzyżowało te plany. Złożyli po-
tem egzaminy w kuratorium w
Białymstoku i tego samego roku
dostali się na studia.

Chyba jeszcze w Rząśniku doszły
mnie wieści o organizowaniu liceum
w Zambrowie. Postanowiłem zgło-
sić się do pracy. Kuratorium zaan-
gażowało mnie z dniem 1 paździer-
nika 1944 roku. Na pierwsze egzami-
ny wstępne dla kandydatów na
uczniów pojechałem bodaj 6 listo-
pada. Mniej więcej w tym samym
czasie przeniosłem się z Rząśnika
do Rogowa. Do Zambrowa jeździ-
łem rowerem. Pani Osiecka, dyrek-
tor liceum, ułożyła mi plan pracy
w ten sposób, że w szkole byłem
od wtorku do piątku. Uczniów było
jeszcze stosunkowo niedużo; rozpro-
szeni po terenie powiatu, zatrzymani
linią frontu, masowo mieli napły-
nąć dopiero po 25 stycznia.

na linii Narwi, w grudniu 1944 r.
czynnych było w powiecie już 26
szkół powszechnych.

Dla Łomży szansa na urucho-
mienie szkół otworzyła się do-
piero z końcem stycznia, gdy
po wyzwoleniu miasta, wraz z ma-
są uciekinierów, zaczęli powracać
także nauczyciele.

— W mieście nie było ani jednej
szkoły — wspomina Zygmunt Filip-
czak. — Gimnazjum Żeńskie spalo-
ne, Gimnazjum Męskie niezdane
do użytku. Niemcy odchodząc znisz-
czyli stropy między parterem i pię-
trem, a bomba zrujnowała dach.
Budynek dzisiejszego Zespołu Szkół
Drzewnych uszkodził pocisk. Na do-
brą sprawę ocalał tylko dawny in-
ternat Gimnazjum Żeńskiego na
Zjeździe. Oczywiście, jak wszędzie,
brakowało w nim szyb i jakiego-
kolwiek sprzętu. Każdy znosił, co
mógł: cegły, deski, framugi okien,
drzwi; wszystko, co nadawało się
do „przerobienia” na ławki, stoły.
Przepełnienie w klasach było wtedy

w dwóch barakach. Szkoła nr 3 w
gmachu prywatnym do potrzeb
szkoły zupełnie nie dostosowanym.
Budynek ten zajęty jest jeszcze
częściowo przez lokatorów, którzy
nie zawsze właściwie się zachowują.
Szkoły nr 4, 6 też w prywatnych,
ale lepiej dostosowanych. Budynku
pod przyszłą Szkołę nr 1 w Łomży
nie ma i zajdzie konieczność odbu-
dowania gmachu na Rybakach, spa-
lonego przez Niemców.”

Równolegle ze szkołami ogra-
nizowały się w Łomży także
władze oświatowe. — Siedzi-
ba Inspektoratu Szkolnego — wspo-
mina Franciszek Franus — mieściła
się wtedy przy ulicy Nowogrodzkiej,
w domu nieżyjącego już wówczas
weterynarza, pana Kusio. Cały lo-
kal składał się z dwóch izb na par-
terze i z gabinetu inspektora szkol-
nego na piętrze. Jako podinspektor
odpowiadałem za gminy: Drodzowo,
Szumowo, Lubotyń, Kołaki, Rutki,
Zawady i miasto Zambrow. Praca,
jak tuż przed wyzwoleniem Łomży,

szarak w buraczkach

Organizowanie oświaty nie ogra-
niczało się wyłącznie do Zam-
browa. Bodaj pierwszą gmi-
ną, którą, po oficjalnym mianowa-
niu na Inspektora Szkolnego, odwie-
dził Franciszek Wasążnik, było
Szumowo: — Pojechałem tam przy
okazji jakiejś powiatowej sprawy.
Ludzie mówią mi: „Mamy już trzy
klasy, nauka się rozpoczęła”. „A
ławki?” — pytam. Tylko się uśmie-
chają i prowadzą do szkoły. Niehe-
blowane, przykryte papierem deski
na szerokość całej klasy; jedne uło-
żone na niższych, drugie na wyż-
szych pieńkach. Dwie deski — pię-
tnastoro dzieci... Kierownik mówi
mi, że ma już troje nauczycieli;

szalone. Uczyliśmy na trzy zmiany.
Dodatkowo funkcjonowała też pry-
watna klasa maturalna. Zgłaszały
się do niej różne „niedobitki”. Tacy,
co to za Rosjan dostali maturę dzie-
sięciolatki, ale ponieważ nie byli
pewni, czy nasze władze zechcą ją
respektować, na wszelki wypadek
woleli zdać drugą, polską. Byli też,
oczywiście, i tacy, którzy w czasie
okupacji uczyli się na tajnych kom-
pletach. Za naukę płacili przeważnie
w naturze. Zarobki nauczycielskie
nie były wtedy zbyt wygórowane;
600 złotych starczało raptem na ki-
logram słoniny.

W pierwszym roku udało się więc
uruchomić jedynie Państwowe Gim-

nazjum. W następnym Eugeniusz
Kraszewski zorganizował Liceum Pe-
dagogiczne w prywatnej willi po
notariuszu Selerowskim, Stanisław
Sosnowski odremontował Szkołę
Drzewną i — zdaje się — organi-
zował również Gimnazjum Handlo-
we. W 1946 roku uruchomiono
Gimnazjum Gospodarstwa Wiejskie-
go i Gimnazjum Krawieckie. Rów-
nocześnie, z inicjatywy dyr. Osie-
ckiej, powstał Społeczny Komitet
Odbudowy byłego Gimnazjum Mę-
skiego. Ponieważ drugie piętro i
klatka schodowa były praktycznie
niekłnięte, w niedługim czasie część
klas przeniosła się ze Zjazdu na
Bernatowicza.

Początkowo „wyjazdy” w teren
odbywały się przy pomocy nóg lub
„po pułnomu transportu”. Niekie-
dy od wsi do wsi podrzucali nas
gospodarze; nie za często jednak, bo
brakowało koni. Z czasem zaczęła
funkcjonować komunikacja PKS-u,
czyli najczęściej stare, przerabiane
ciężarówki z dużą ilością ław, żeby
mieściło się więcej ludzi. Często nie
starczało już miejsca na nogi. Kur-
sowały te autobusy na trasie Łom-
ża—Białystok, Kolno, Nowogród,
Zambrow.

Nie zawsze były to bezpieczne
wyjazdy. Choć sporadycznie, zdarza-
ły się jednak przypadki demolowa-
nia szkół, bicia, a nawet zabijania
nauczycieli. Co bardziej przeraźli-
mieli na wyposażeniu sal lekcyjnych
dwa godła: na dzień — orzeł pias-
towski, na noc, dla „leśnych” — w
koronie. Bywało, że nauka w szkole
szła zgodnie z planem dyktowanym
przez „leśnych”.

Zdarzały się jednak i takie —
wspomina Franciszek Franus — hu-
morystyczne historie: wznowiono
właśnie działalność konferencji
rejonowych (rejon tworzyła jedna
lub dwie gminy); pięć razy w roku
nauczyciele spotykali się na zaję-
ciach, które obejmowały lekcje po-
kazowe i dyskusje na interesujące
wszystkich tematy. Zgodnie z nie-
pisanym zwyczajem każda nasla-
dówka kończyła się kolacją, fundo-
waną przez gospodarza. Tego dnia
zaprosiła nas kierowniczka szkoły
w Ciborach, gmina Zawady. Ledwo
usiedliśmy, zjawili się na stole dwa
pieczone zajace: piękne comberki z
buraczkami i kartofelkami. Nie pa-
miętałem dobrze, ale było też chyba
trochę bimbru. „Skąd taki rarytas?”
— wpadliśmy w zachwyt, ale gos-
podyni zbyła nas nieczym. Kiedy
wszyscy już rozjechali się, poprosi-
łem jeszcze raz o zdradzenie ta-
jemnicy. „No, cóż — powiedziała —
wiedziała, że szynki i kiełbasy
mieć nie będę. Poszłam więc do
znajomego gospodarza, żeby ustrzeżił
jakiegoś szaraka. Zabił, i to nawet
dwa, a potem przez córkę wysłał
je do mnie. Po drodze jednak dzie-
wczynce ktoś zajace odebrał. Ok-
azało się, że we wsi nocuje oddział
leśny. Poszłam więc do dowódcy i
powiedziała, co się stało; jaki
przeżyje wstyd, gdy zajace się nie
znajdą. No i odnalazły się.”

DANUTA I ALEKSANDER
WRONISZEWSKY

Reprod. STANISŁAW HOROSZ



uruchomić szkoły. Na razie praco-
wać będziemy na przedwojennych
programach. Mnie natomiast, już
osobno, powiedziano: „Grażdanin
inspektor, musicie dziś i jutro ogło-
sić zapisy do szkół. Wy będziecie
inspektor, surowo za to otwiczajcie-
cie”. Zanim jednak zdołałem się z
tym do końca uporać, 15 czy 16
września przyszedł rozkaz ewakua-
cji: w okolicach Jedwabnego i Sta-
wisk pojawiły się silne formacje
niemieckie. „Front na Narwi zatrzy-
ma się na miesiąc, może dwa.”
Zatrzymał się na dłużej.

Ale przecież część powiatu była
już wyzwolona. W Zambrowie orga-
nizowała się władza polityczna i
administracyjna. W Białymstoku
istniało Kuratorium. Trzeba było
organizować oświatę tam, gdzie po-
zwalały na to warunki. W ciągu
dziesięciu dni rozpoczęły się zajęcia
w trzech szkołach powszechnych w
Zambrowie, równolegle trwały za-
pisy do (organizującego się) liceum
ogólnokształcącego. Powoli ściągali
też do Zambrowa kolejni, rozpro-
szeni po przymusowej ewakuacji
z Łomży, nauczyciele.

— Początkowo los rzucił mnie do
Rząśnika w gminie Lubotyń — wspo-
mina Zygmunt Filipczak. — Prowa-
dziłem tam przez jakiś czas pry-

dwóch przedwojennych z kwalifi-
kacjami i jednego gimnazjalistę.
Pan Podedworny przyrzekł też po-
moc w postaci desek na prawdziwe
ławki. W dzień więc trwa w szkole
nauka, a po południu zaczyna się
remont. Przechodzą stolarze, mura-
rze, szklarze.

Podobnie organizowały się w po-
wiecie i inne szkoły. Do normalnych
należał wtedy widok kilkuletnich
pedraków taszczących do szkoły
przed ósmą rano kawałki szyb, ta-
borety czy stołeczki. Sprawa wypo-
sażenia szkół w sprzęt stanowiła
wtedy zresztą problem najmniejszy.
Najważniejsze było to, by w ogóle
mieć na czym usiąść i na czym
pisać. Za tablicę np. posłużyć mogła
goła ściana; gorzej, że brakowało
podręczników. Nierzadko nauczycie-
le ratowali się pisząc własne —
rozdziel po rozdziale (na każdą
lekcję) elementarz, książki do his-
torii, fizyki... O pomocach nauko-
wych trudno było nawet pomarzyć.
Za cały majątek starczała zazwyczaj
jakaś, przypadkiem zachowana, ma-
pa czy globus. A przecież były i
takie wsie, gdzie nauki nie można
było podjąć w ogóle.

Mimo tych wszystkich przeszkód,
pomimo walk, które trwały jeszcze



CIĄG DALSZY ZE STR. 1

na szlaku. Bluesy Nalepy i Lebla przetrwały próbę czasu.

Napicie. Jaki się okaże po latach miłczenia? Ludzie, którzy przekraczają bądź przekroczyli Rubikon trzydziestki, przyszli na spotkanie ze swoją wczesną młodością. Nalepa uśmiechnięty, na luzie, czeka na otwarcie imprezy. — Żeby tylko nie zapomnieli tekstów — niepokoi się Wreszcie konferansjerzy-kabareciarze witają „francuskich pijaków, niemieckich narkomanów i polskich degeneratów” (zjechali i cudzoziemcy), zapowiadają występ „pana Tadeusza”. Wybuch wrzawa. U boku Nalepy gitarzysta Andrzej Nowak (ex-„TSA”) oraz basista i gitarzysta z „Maanamu” — czółowka polskiego rocka jako oprawa combaacku Tadeusza.

I zaczęło się: — „chyba tu zostawie Grach, / który mi kazał w kłamstwie żyć, / bluesa tylko weźmę...” — Publiczność śpiewa razem z nim. A ten gra jak za najlepszych swoich lat. Jakby czas się cofnął, a my znów zanurzyliśmy się w „Rzecz dziecinstwa”. I jeszcze jeden stary blues: „Czemu kwiaty zwiedły dziś”, a potem nowe — „Teraz święty Boże nie pomoże Ci!” Brawa. Kolejny utwór, przejmujący do szpiku kości: „Musisz walczyć, żeby przeżyć, przeżyć kilka marnych chwil. / Musisz wierzyć, choć nie wierzysz, że kiedyś będziesz lepiej żyć. / Taki marny zgotowali los i czy zmieni się coś — nie wie nikt”. Nie milknące brawa.

— Tadeusz, zagraj jeszcze — prosi gorączkowo jeden z organizatorów. — Przecież oni przyszli specjalnie dla ciebie, tyle czekali...

Więc jeszcze śpiewa, a wraz z nim amfiteatr, „Modlitwę”. — Szkoda, że nie przygotowałem więcej starych utworów — żaluje, słysząc aplauz widowni. Pozostawia niedosyt.

Dalej leca „występki” grup amatorskich. „Remont” z Białegostoku. Męczą. Po ich niby-bluesie siada aparatura. Akustyki czolga się wśród kabli. Ktoś z widowni wyciąga harmonijkę ustną i zaczyna bluesić. Zaraz otaczają go inni wybijając rytm dłońmi.

Można polazić, poszukać znajomych. Można sztachnąć się „Marychą”. Można wyczekiwać w kolejce po oranżadę. A że jest cholernie długą, czereda wali do mieszkania pana Olesiewicza, który klinie na korytarzu kamienicy stojącej w obrębie amfiteatru. — Wystosowaaliśmy petycję do prezydenta miasta — skarży się. — Już na drugi rok tej imprezy nie będzie tutaj. Pies mi się przestraszył i przestał szczekać.

Pan Olesiewicz jednak czuje bluesa, bo wypuszcza do kuchni spragnionych hipiejów.

Przed północą uporali się z elektroniką. Na scenie „Ostatnie Takie Trio” — trzech młodych chłopcy: dwaj gitarzyści w ciemnych okularach (podłapani z filmu „Blues Brothers”) i basista ogolony do gołej skóry. Zaczynają ostro. Spontan. Lecą standardy bluesowe, wykrzykane w manierze punk. Show i szal widowni. Jednak po pewnym czasie nużą. Teksty żenujące.

Jednak to, co działo się po nich, przechodziło bluesowe pojacie. Wystąpiła jakaś panienka, która sprawiała takie wrażenie, jakby trafiła tu wprost z dancingu. Z ławek biegły błagalne okrzyki: „Jesteście wspaniali, tylko skończcie już”. Ale muzykanci byli amfotne. Katowali do oporu. Dopiero nie zapowiadany recital Stanisława Sojki przyniósł ukojenie.

— Zaspiewam coś, co nie jest może w formie, ale w klimacie absolutnie blues — zapowiada. I jest to absolutnie blues. W tej muzyce nie uda się żadne kombinowanie. Każdy fałsz jest od razu wyczuwany. Musisz grać i śpiewać całym sobą, takim, jakim jesteś, wówczas jesteś blues.

Ale, ale! Winien jestem tym Czytelnikom, którzy nie są „umilowani w bluesie”, słowo wstępne: to to takiego ten blues. Powiem od razu, że każdy, bez względu na wiek, pochodzenie czy wykształcenie, nosi w sobie bluesa. Big Bill Bronzie, śpiewak bluesowy, opowiada przegodę z żółwiem, którego złapał ze swym wujem. Uciął mu głowę. Po pewnym czasie wyrzł przed dom. Żół-

wia nie było. Znaleźli go dopiero nad brzegiem morza. „Oto żółw, który jest martwy — powiedział wuj Billa — a nie wie o tym”. Big Bill wyciąga morał: „I tak bywa dziś z wieloma ludźmi. Jest w nich blues i nie wiedzą o tym”. Zaś Leadbelly, inny śpiewak, rzekł: „Siedząc przy zastawionym stole [...] a odchodzisz drżący i mówisz: «Boże, zlituj się nade mną, nie mogę jeść i nie mogę spać, co się ze mną dzieje?» Jest w tobie blues”.

Blues powstał na styku pieśni murzyńskich niewolników i muzyki europejskiej. — „Blues śpiewa o wielu rzeczach utraconych: o utraconej miłości i utraconym szczęściu, o utraconej wolności i godności człowieka — napisał wybitny znawca tematu, Joachim Ernst Berendt. — Blues jest muzyką wiejskiego, a później miejskiego proletariatu, któremu wiedzie się kiepsko”.

Na scenę wchodzi „Kasa Chorych” z Białegostoku. W „Kasie” grał, tragicznie zmarły, Ryszard „Skiba” Skibiński — człowiek, który odrodził polskiego bluesa i wyniósł na niebotyczne szczyty. Nikt nie zdolał tej ziejącej pustką wyrwy w „Kasie” uzupełnić.

Zamiast jednak słuchać grafo-mańskiego bluesa, poświęconego pamięci „Skiby”, w wykonaniu skrzypka Cezarego Czernastka (w ciemnościach migocze kilka płomyków), przeczytajmy fragment wiersza Zdzisława Smętki, który pomoże zrozumieć nam, dlaczego tak wielki talent tak szybko odszedł do „krajny wiecznych łowów”. „W zagubionej piwnicy przy ulicy Waryńskiego / co chwila błyskał flesz służbowego aparatu „Praktica”. / Z Wrocławia przyjechała ekipa oficerów milicji, / aby zbadać przyczyny śmierci / bardzo zdolnego gitarzysty, Zisisa Dzwelasa. / Wisiał teraz niepotrzebny nikomu na parku, / w czaszeczonym ciemnym kącie. / Szarzy ludzie z naszej ulicy / pamiętali jeszcze ementalne ogniki Dnia Zaduszek, / a śmierć znowu błysnęła herbowym narzędnikiem. / Ci faceci, ubrani po cywilnemu, roz-wiewali wątpliwości / miejscowych funkcjonariuszy, którzy sądzili / że na kartce znalezionej w kieszeni, / jak meldowali — wisielca, / odkryli międzynarodową listę dostarczycieli parocianu na / zgorzeleci rynek narkomanów. / Są to nazwiska muzyków — łagodnie, młodszemu stopniem, / wyjął major w kurtce ortalionowej „Parmalat”, / tych — mówił wyraźnie — co przed-wześnie od nas odeszli, / zostawiając etagle zbyt mało wspaniałej muzyki: / na przykład Duane Allman z zespołu „Allman Brothers”, / czy Berry Oakley (też z „Allman Brothers”) albo Janis Joplin — „Big Brothers and the Holding Company”, / jest jeszcze Alan Wilson chłopak z Canneat Heat, / słyszeliście pewnie o Brianie Jonesie — Rollingstonnoscowcu, / a już na pewno o Jimi Hendricie (The Jimi Hendrix Experience), / Wszyscy oni zginęli w dość tajemniczych okolicznościach jak / Zisis Dzwelas, denat z Micky-Des Group. / Aha, odrzekli miejscowi milicjanci, dalej nie rozumiejąc / o co biegnie szyszkom z województwa”.

Na tym byśmy zakończyli pierwszą bluesową noc. Kto rozbili się na polu namiotowym, szedł na pole. Powodzenie miały też ławki w parkach, ławki na dworcu i murki; ba, widziałem nawet hipieja, który spał na wklęsłej ławce warzywniaka. Taka ławka służąca do spania staje się ławą-blues; drzewo, które osłania ją przed niespodziewanym a nagłym deszczem, drzewem-blues; miasto zaś osłaniające w swych murach tych dziwnych ludzi, którzy męczą się dla dwunastu taktów z błękitną nutą: miastem-blues. — Boże, serce mi się kraje, gdy ich widzę na ulicy — załamuje ręce moja ciocia — obszarpani, zarośnięci, a buzie takie inteligentne...

O d rana bluesowo. Deszcz. Wiara pod filarami i zadaszeniami. Ktoś brzdąka na gitarze, ktoś wtóruje na harmonijce, niektórzy dosypiają na ławkach. Po południu wзира nieśmiało słońce. Happening muzyczny na starówce „Ostatniego Takiego Triu”. Przyłącza się każdy, kto tylko ma jakiś instrument pod ręką.

Dzisiejszego wieczora czeka nas uczta. Nadwornym kuchmistrem będzie Irek Dudek. Zanim zapłonęły reflektory, pod sceną grają faceci z orkiestry „John and Ruckers”.



Śpiewają archaiczne bluesy. Robi się atmosfera. Dudek na estradę prosi 10-osobową kapelę „Remiza Juniors Marching Band”, czyli „Marszowa Orkiestra Juniorów Remizy”. Najmłodszy muzyk ma lat 9.

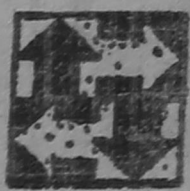
— Jesteśmy z Krotoszyńska (woj. kaliskie), uczymy się w jednej podstawówce — udziela mi wywiadu Paweł Swica po ciepłym przyjęciu przez publiczność. — Początkowo byliśmy kapelą podwórkową. Raz instruktor zagrał „Świętych”, spodobalo się nam i tak doszliśmy do bluesa.

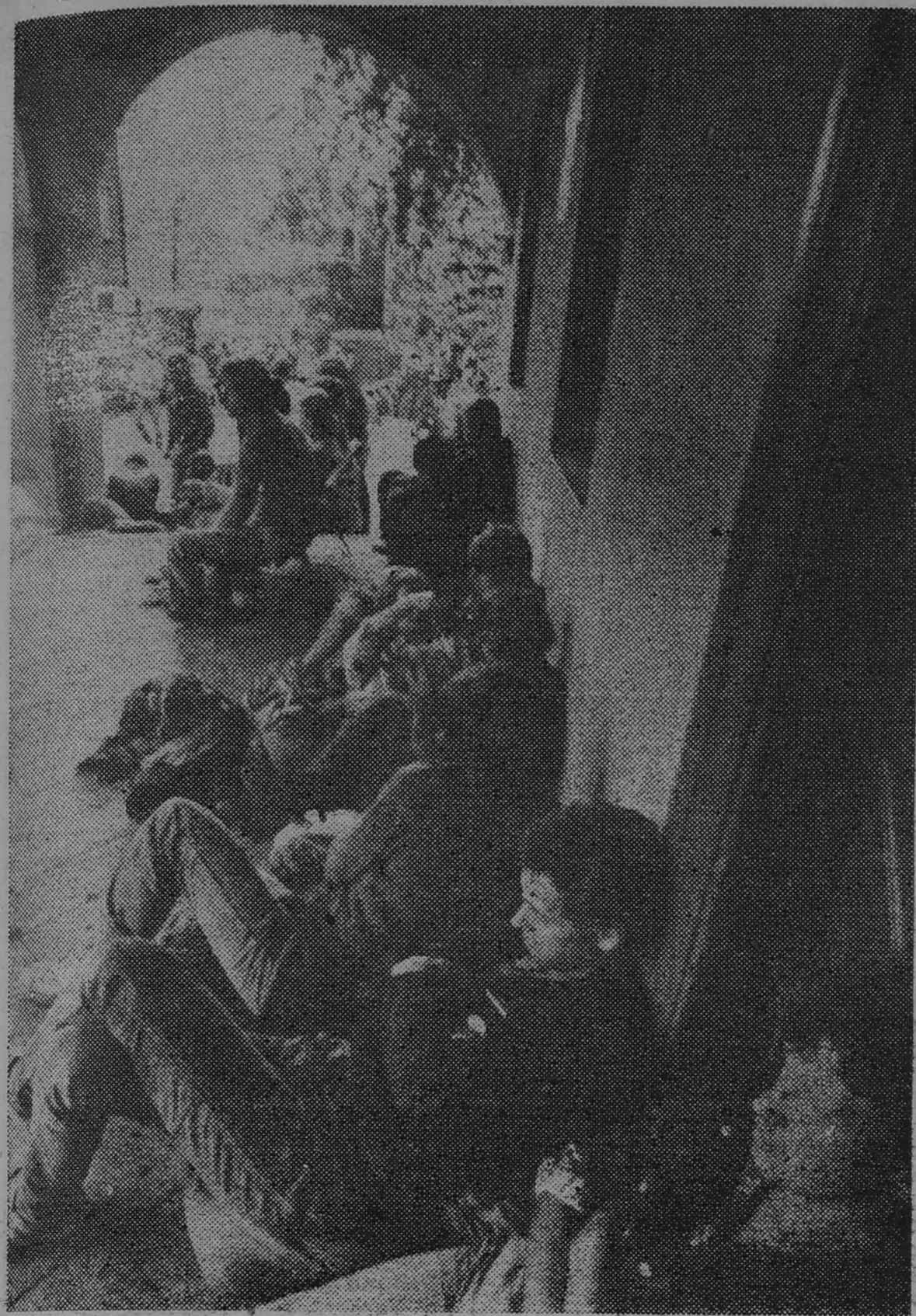
— W tę muzykę trzeba się wczuć — przyłącza się do rozmowy Marek Olejnik — nie wolno być obojęt-

nym. Blues odpręża. Można przy nim fruwać.

Poruszenie. Jasiu „Kyks” Skrzek, młodszy brat Józefa, założyciela „SBB”, w recitalu solo. Jego blues jest tak czarny, jak czarny jest węgiel. Kolebką bluesa jest delta Missisipi, zaś bluesa polskiego — Śląsk. Jasiu gra na fortepianie i harmonijce ustnej. Śpiewa i zapowiada w śląskiej gwarze. Daje „szol”, jakby urodził się na deskach estradowych. — A teraz pośpiewam wam o górniku, który nie lubiał mnie słuchać, jak grałem bluesa — śmiech widowni — i już nigdy mnie nie usłyszysz. — Śmiech zamiera.

— My, Ślązacy, mamy bluesa we





krwi — mówi mi po występie. Jest naturalny i bezpośredni, jak i na estradzie. — Siedem lat pracowałem 300 metrów pod ziemią. W wolnych chwilach śpiewałem górnikom. „Co ty, pieronie, grasz?” — pytali koledzy. „Blues!” Gdy wyciągałem harmonijkę, mówili: „Janek będzie grał busa” jakby kota za ogon ciągnął. Kto gra bluesa? Ten, kto coś przeżył. Czy można żyć z bluesa? I tak, i nie. Gdybym odkładał, może po kilku latach kupiłbym syrenkę?

Blues łapie niespodziewanie. Ktoś siedzący do tej pory nieruchomo — nagle zaczyna się kołysać. Na platformie, na której ustawiono reflektory, tańczy półnagi mężczyzna.



Blues przepływa przez jego ciało. Ktoś siedzący dotąd cicho — ni stąd, ni zowąd — zaczyna krzyczeć. Blues znieściska napada człowieka i, nie robiąc najmniejszej krzywdy, raptem opuszcza. Taki to dziwny „zbój”.

„Easy Riders” grają bluesa jak szwedzkie zyletki. Gitarzyście pęka struna. — Niestety, w Polsce ostatnio nie można dostać strun — tłumaczy publiczności. — Spróbuję grać na pięciu. I gra pięciostunowego bluesa.

Jest! Przyjechał. Gość honorowy: Champion (był kiedyś bokserem) Jack Dupree, pianista i śpiewak bluesowy z USA. Był przed laty w Polsce. Nie wytrzymuje długo na widowni: obalenie autografowiczów. Idzie na górę, za „kulisy”. Za nim wędruje pekata folia z butlami piwa. Zawarował sobie to w kontrakcie. Z korytarzyka do garderoby Mistrza zurawia zapuszcza wokalistę z „Ostatniego Takiego Triu”. Co chwila wpada w zachwyt nad wypowiedziami Jacka. Mówi jego kolega, basista: — Skończyłem szkołę podstawową na piątkach i uznałem, że wystarczy mi nauki. Maluję, piszę. Ciągłe szukam. Granie traktuję jako zabawę. Zrozumiałem, że blues to jest to, o co mi chodzi. Reszta jest nieważna. U nas muzycy zdezoorientowani. Śnią o karierze „Led Zeppelin” (słynna grupa; grała spłyconego bluesa — przyp. rep.). Tu prawie wszystkie zespoły są bluesoidalne. Bluesa czuje niewielu: Nalepa, Jaś Skrzek. Inni ścigają się na gitarach.

Champion daje krótki recital. Nie jest chyba w formie po podróży? Ale owacje nie milkną. Wpada Irek Dudek: niepozorny, szczupłutki, w garniturku jak z młodszego brata, i z miejsca odbiera publiczność Dupreemu. Śpiewa bez akompaniamentu worksongs. Publiczność podchwytuje. Wchodzą muzycy, których zaprosił na bluesową ucztę. Potężna orkiestra. Na wielu koncertach byłem, ale coś takiego słyszałem po raz pierwszy. Dudek dwóli się i troli. Grał, śpiewał i dyrygował. Miało się wrażenie, że za moment eksploduje. Wskoczył na fortepian. Po chwili już ciągnął smykkiem. Jeszcze z dwoma skrzypkami: Jasiem Biedowskim (ex-„Krzak”) i Heniem Głębockim tworzą „szatańskie trio”.

Tak. Sobota była wspaniałą ucz-

ta bluesową. Rozmaitość „dań”. Każde doskonale przyprawione. Na tacy został tylko napis: „mane thekel...”

Trzecia noc i ostatnia. Okoliczne dachy obsadzone słuchaczami, których nie stać na bilet. Przy jednym z wejść grupka młodych ludzi. Próbuja ubłagać „bramkarzy”. — Nie na naszą kieszeń — tłumaczą mi — 600 złotych jeden wieczór. Przecież wielu z nas się jeszcze uczy.

— Co nas wkurza? — odpowiada za wszystkich długowłosa z kolczykiem z roga w uchu. — Fajans! Co to fajans? Jak jeden zajmuje cały przedział, a 40 musi się gnieść na korytarzu; jak taki buc siedzi na „bramce” i myśli, że jest Bogiem; gdy nas oszukują. Co nas cieszy? To, że jesteśmy razem, że są między nami pozytywne vibracje. Co to blues? Życie. Moje, jego, twoje.

Na estradzie pseudoblues. Muzyka staje się tłem dla życia wokół estrady. Marek jest z Gdańska. Noszą okulary z uniesionymi ciemnymi szklami i długie włosy. Ma wygląd wesółka. Dialog między nim a mną: — Starczy ci forsy do pierwszego? — A kiedy będzie pierwszy? — Wiesz, ile w tym miesiącu jest masła na kartki? — Nie wiem. Nie pobieram kartek. — Z czego żyjesz?

Pozostawia mnie bez odpowiedzi uśmiechając się ironicznie. Wyręcza go „St. Mały”, jak się przedstawia: — Śniło mi się niebo na ziemi, a myśmy byli aniołami, ale bez skrzydeł, a dziś nas nazywają niebieskimi ptakami albo pasożytami, lecz my to wszystko z góry, jednym słowem. Ale po co? — Jest taki rok, kiedy wszyscy zaczynają tworzyć i jeździć — mówi natchniony „Anioł”, gdy pytam, co ich tak gna z miejsca na miejsce. — Ten rok, to Rok Pański. Chrystus. Czy wiesz, co to słowo znaczy? Wola, Miłość, Pragmatyzm. Co robimy, gdy eliminujemy wszystkie imprezy muzyczne? Nic się nie stanie! Ludzie przyjadą do mnie i u mnie będą grać.

— My tworzymy imprezę — podchodzi N.N. w kurtce wojskowej z I wojny światowej i berecie na głowie. — Jeżeli zdecydujemy, że należy zbrojotować waszą imprezę, nikt nie przyjedzie i muzycy będą grać do pustych krzeseł. Nie możecie tego zrozumieć i przeganiacie nas.

N.N. jest po wyższych studiach. Z wiosną wychodzi na ulicę i zarabia jako grajek. Zimą jest ceramikiem. — Wyłączyłem się — tłumaczy swój styl życia. — Wiesz, nie mogłem się włączyć, absurd goni absurd. Wchodzi do baru, prosi o dodatkową porcję chleba do bigosu. „Nie dam — na to kelnerka — bo tak skalkulowane”. Mam wrażenie, jakby tym interesem kręcili dadaści. „Zatrzymaj się” — powiedziałem motorniczemu tego tramwaju i wysiadłem. A teraz weź swoją głupotę i idź w swoją stronę, a ja wezmę moją głupotę i pójdę w swoją.

Rozmowę przerywa ryk publiki. Na estradę wchodzi idol — grupa „Dżem”. Tornado gitar. Widownia wpada w trans. — „Czerwony jak cegła” — zapowiada kolejny utwór Rydel i śpiewa cały czas na najwyższym rejestrze: — „Czerwony jak cegła, gorący jak piec, i muszę ją mieć, muszę ją mieć”.

Aż prosi się o wiersz Herberta „Pan Cogito a pop”: „kłopot polega na tym / że krzyk wymyka się formie / jest uboższy od głosu / który wznosi się / i opada [...] / wyraża prawdę uczuć / w rezerwatów przyrody / szuka utraconego raju / w nowych dżunglach porządku / modli się o śmierć gwałtowną / i ta mu zostanie przyznana”.

Miasto powoli pustoszeje. Część rusza na szlak autostopem, część unosi w różne strony Polskie Koleje i kolejny. Każdy z nich jest zarażony bluesem. Blues zalewa kraj. We wrześniu w Łomży „Blues dla Guinnessa”; w listopadzie białostocka „Jesień z bluesem”. — Mamo, poczułem bluesa — woła zaledwie trzyletni chłopczyk.

Matki, strzeżcie dzieci przed zapakami i bluesem.

Fot. KAZIMIERZ CENTROWSKI

spiecia



9

KONTAKT
2 IX 1984

Po zagubieniu prawa jazdy — nowe można otrzymać na podstawie ogłoszenia o swym pechu na łamach prasy. Dla miłej pani z Wydziału Komunikacji Urzędu Miejskiego w Łomży dowodem zamieszczenia ogłoszenia nie jest jednak wycinek z gazety, zawierający podstawowe dane o obywatelu i dokumencie, lecz druk poświadczający uiszczenie opłaty za ogłoszenie i opatrzonej odpowiednią pieczęcią. Teraz rozumiem, dlaczego w e.k. armii pieczęcie nawet na wychodkach stawiano.

Mandatami od pięciuset do tysiąca złotych uciążliwiej co pewien czas zmotoryzowanych mieszkańców łomżyńskich ostedli dyscypliny i szanowania zieleni. W osiedlach miejsc do parkowania brak. Przy „Fadomle” natomiast, tuż obok specjalnie wykonanego za nieś tam tysięcy złotych parkingu, codziennie stawiana jest na trawniku czerwona Zastawa. I niech ktoś powie, że w tłumie bezpiecznie.

Obrazek łomżyński z 15 sierpnia. Zakład fotograficzny przy ul. Sienkiewicza zamknięty — właściciel właśnie wybiera się na urlop, przy ul. Sienkiewicza — zamknięty. „Wzros” — remont „Syrena” przyjmuje tylko w soboty i niedziele, tylko ślubu i chrztu. Na drzwiach wszystkich zakładów karteczki z informacją: „w uzgodnieniu z Wydziałem Handlu i Usług Urzędu Miejskiego”. Zgrabny jeteń w herbacie miasta jest całkiem na miejscu.

W sklepach „Społem” pojawiły się pyszne marzyny rodem z warszawskich zakładów 22 Lipca, dawniej E. Wedel. Producent pakuje najpierw ciasteczka (po pięć) w deficytowy celofan, a potem w sklepach sprzedaje się je na wagę. Na opakowaniu nie uwidoczniło ani wytwórcy, ani nazwy towaru, ani tym bardziej — wszak panta rhei — ceny. Całość zgodna z duchem reformy.

Z urlopu wrócił redaktor „saka” z „Kurieru Podlaskiego” i natychmiast wyraził żal, że nie miał okazji się napić. Publikacje „saka” dowodzą, że skutek nie zależy od okazji. W tym samym numerze („KP” z 16 sierpnia) red. Hanka Warakomska przekształca naczelnego „Kontaktów” ze Stanisława na Jerzego, zapominając przy okazji o prawie prasowym. Cóż, spiritus movens — spirytyus.

Czternastego sierpnia blond-piekna z pawilonu PSS w osiedlu Jan-tar sprzedawała arbuzy bez kolejek tylko i wyłącznie mężczyznom. Pantenka, arbuzy niepotrzebne. Nawet zazdrośne pań: z kolejki przyznały, że wystarczyłyby atuty osobiste.

Redaktor „h” z „Gazety Współczesnej” doniósł 20 sierpnia o prezentacji Białostoczyny przez TV „w niezmiernie szerokim aspekcie”. Taka sprawa: szeroki talent — wąska ława.

Niezmiernie trudno złapać się na listy preferencyjne usług żniwnych, o czym świadczą przykłady rolników ze wsi Kuzie, gmina Zbójna. Nie wystarczy pałaczek, operacja nerki ani starczy wiek, wsparły długoletnią działalnością w kółkach rolniczych. Warunek podstawowy: trzeba być najbardziej potrzebującym. Każdy daje, na ile mu staże.

Nowe zwyczaje wdrożono na kortach WOSIR-u w Łomży. Kiedyś człowiek za darmo polewał i równał nawierzchnię, za darmo też grał. Teraz robi to samo i płaci sto złotych. Za naciągnięcie statki naciągają się klienta dodatkowo. Rekreacja to szczupła kieszka na szczupłej sylwetce.



Śmiech pokoleń

STEFAN ATLAS

Gdybym był poetą, zamiast tego felietonu napisałbym wiersz o Ryszardzie Tarczyńskim, 18-letnim chłopcu, rozstrzelanym 29 maja 1943 roku w Warszawie na Pawiaku. Mija już 45 lat od wybuchu wojny. Czy młode pokolenia Polaków wiedzą, co to był Pawiak?

Od wielu lat mieszkam tuż obok Pawiaka. W ubiegłą niedzielę byłem świadkiem incydentu: siwy, stary człowiek, trzęsąc się z gniewu, wymyślał człowiekowi w średnim wieku, starannie ubranemu, który spokojnie reagował na wypowiedziane w pasji słowa i tylko od czasu do czasu rzucał spoza okularów ironiczne błyski.

Całej scenie z zainteresowaniem przyglądała się młodzież, chłopcy i dziewczęta w wieku od szesnastu do dziewiętnastu lat. Obsiedli gestem murek otaczający jedyne ocalałe przed bramą Pawiaka drzewo, całe obwieszone blaszanymi tabliczkami z nazwiskami zamordowanych w tym więzieniu. Co roku to drzewo okrywało się świeżym listowiem, stanowiąc w tym miejscu śmierci jakby symbol wiecznie odradzającego się życia. W tym roku liście także pojawiły się w maju, ale

rychło przybrały brudną barwę, zwinęły się, smętnie obwisały i lada podmuch wiatru zrzuca je na ziemię. Drzewo jest chore; drzewo umiera.

Młodzi jeszcze przed chwilą wesoło rozbijali o murek jaja ugotowane na twardo i spożywali je wraz z bułkami, których spory zapas każdy nosił w podróжной torbie. Dowcipkowali, śmiali się, wiedli rozmowy; niezrozumiałe dla mnie, bo po węgiersku i czesku. Ale była tu również grupka młodych Polaków. Z zainteresowaniem oglądali pornokarty, którymi ich koledzy grali na murku w durnia czy w tysiąca. Stary człowiek ochryplym z irytacji głosem wykrzykiwał: — To jest święte miejsce... tu nas zabijano... tu jest krew... ja tu siedziałem... tu zamordowano tysiące ludzi...

— Niech pan zrozumie: to jest międzynarodowa grupa młodzieży, oni tego nie pojmą — spokojnie, rzeczowo informował pan w okularach.

— ...tu mordowali takich jak oni... setki, tysiące... Jeśli nie rozumieją, to po co ich tu prowadzicie? Kim pan jest?

— Jestem pedagogiem. Pokazujemy im to, bo może niektórzy jednak coś zrozumieją. Mamy ułożony program i musimy go realizować — starannie ubrany człowiek w średnim wieku nie pozwolił wyprowadzić się z równowagi.

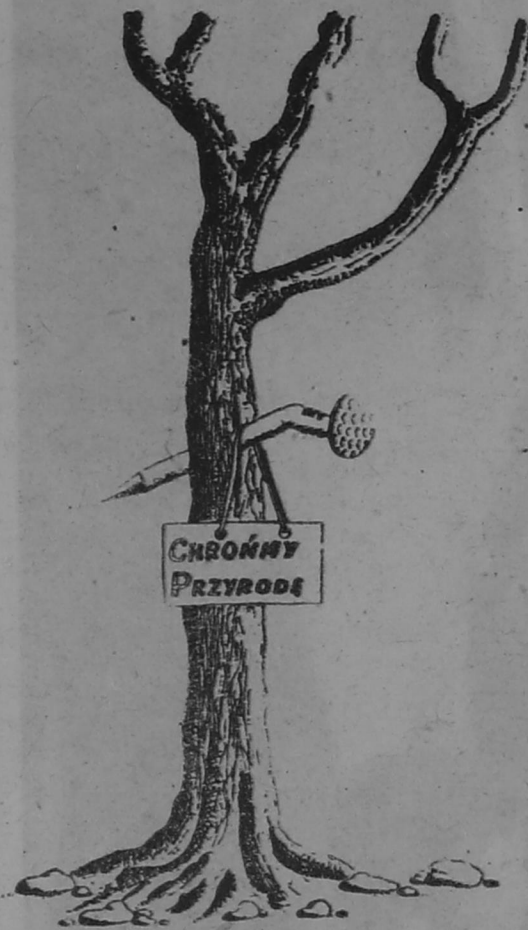
— Taki z pana pedagog, jak... Po co ich tu prowadzicie? Uszanujcie tych, co zginęli! Ja tu widzę i Polaków, oni też nie rozumieją?

— Pan niczego nie rozumie. To jest młodzież wychowana w normalnych czasach. Oni wiedzą, że rozumieć nie mogą — pedagog mówił tonem prowadzącego seminarium. Uznał jednak widocznie, że nie warto przeciągać incydentu, bo dał znak, zawołał coś po węgiersku i po czesku, a młodzież dziwnie szybko wsiadła do oczekującego autokaru. Chyba ich także ta awantura przestała już bawić.

Stary, siny z wściekłości, patrzył jeszcze przez chwilę w ślad za odjeżdżającym autokarem, a później jakos się w sobie zapadł, oklapł, i

niepewnym krokiem ruszył w kierunku ruchliwej ulicy Marchlewskiego. Gdyby go ktoś zauważył dopiero w tej chwili — pomyślałby zapewne: „Patrzcie, taki stary, a od rana już się zalał”.

Zostałem sam na pustej ulicy. Myślałem o starym człowieku, który cudem ocalał w tej katowni, i



o eleganckim przewodniku międzynarodowej grupy, zachowującym olimpijski spokój. Myślałem o młodzieży: czy rzeczywiście koszmarnego miejsca nie dociera do ich świadomości? Wychowali się w czasie pokoju; życiem, które ich otacza, rządzi normalne zasady prawne i etyczne. Jakże więc mają pojąć, że ktoś bezkarnie może, na ich oczach, zabić ich matkę, ojca, małe rodzeństwo? Że może kogoś godzinami torturować, naigrawać się z jego cierpienia, topić w wiadrze nowo narodzone dzieci czy strzelać w brzuchy ciężarnym kobietom? To wszystko działo się na Pawiaku, ale żeby umieli to ogarnąć, musieliby

przeżyć osobiste albo odrzucać te miary, którym ich nauczono oceniać dobro i zło. A przecież zapomnieć nie wolno. W jak sposób doprowadzać te straszne prawdy do młodych umysłów?

Znowu przyglądałem się choremu drzewu. Najwyżej umocowana tabliczka głosiła, że w 1943 roku rozstrzelano tu grupę studentów tajnego Uniwersytetu Warszawskiego, którzy zebrał się w mieszkaniu państwa Czaki, na Żoliborzu, by wysłuchać wykładu socjologa, prof. Oknińskiego. Musieli za to zginąć wszyscy, razem z profesorem i gospodarzami mieszkania. Gdyby żyli, byłiby zapewne dzisiaj doświadczonymi socjologami i może oni potrafiliby dać mi odpowiedź: jak trafić do tej młodzieży, która wesoło obsiadła murek? Jak uszanować uczucia starego więźnia Pawiaka? Ale ich rozstrzelano, a ich miejsce zajął pelen dyskretny ironii, spokojny, pewny siebie pedagog, kierujący międzynarodową grupą.

Na samym dole, tuż przy korzeniach drzewa, dostrzegłem tabliczkę: „Ryszard Tarczyński, lat 18, rozstrzelany 29 V 1943”. Był ich również nikiem, ale nie miał czasu na zabawy, wygłupy, wycieczki. Zabrano mu wszystko, więc musiał stać się żołnierzem Polski Podziemnej. Mógł sobie tylko cicho podśpiewywać: „Przemoczone pod plecakiem ośmiennacie lat”.

Dionizy Maliszewski, poeta, działacz kulturalny z Ostrołki, wyjechał przed kilku laty z młodzieżowym zespołem na festiwal do Oświęcimia. Dostali kwatery tuż przy obozie. Długo w noc do uszu Maliszewskiego dobiegały piosenki, ucieśna muzyka, śmiech, a on leżał bezsenne na łóżku i tysiącny raz czytał ostatnie dwa listy-relikwie od swego ojca, zamęczonego w oświęcimskim obozie. I napisał wstrząsający wiersz.

Gdybym był poetą — zamiast tego felietonu napisałbym wiersz o Ryszardzie Tarczyńskim. A może już ktoś napisał taki wiersz? Może Tadeusz Borowski?

„Zostanie po nas złom żelazny i pusty, drwiący śmiech pokoleń.”
Rys. Zdzisława Grabowskiego

Na naszym podwórku jest nudno, od kiedy wybraliśmy Zdzicha Pryszczę na wodza. Nikt nie ma już ochoty bawić się w Indian. Tzn. ochotę może byśmy mieli, ale Zdzichu powiedział, że to zabawa dla małych dzieci i podobnie nam luki. Nie protestujemy, bo Zdzichu jest duży i ma ostrego psa. W podchody też się już nie bawimy. Zdzichu nie lubi się chować.

Mówi, że najlepiej się bawi, kiedy wszystkich ma na oku.

Zdzichu codziennie robi nam zbiórki. Każde stawać w dwusereg, odliczać, a potem prowadzi nas czworakami wokół zepsutej huśtawki. — Raz, raz — podaje krok — trzy, cztery — przygotowuje i zaczynamy śpiewać. Zdzichu mówi, że ze wszystkiego najważniejsza jest melodia. Dlatego zawsze śpiewamy

GŁOSUJCIE NA ZDZICHA

tak samo, tylko zmieniamy słowa. Tzn. słowa zmienia Zdzichu, a my uczymy się ich na pamięć.

Od kiedy Zdzichu pozwolił, że byśmy go wybrali na wodza, na podwórku jest spokój. Nikt nikogo nie gryzie, nie kopie i nie drapie. Tak przynajmniej twierdzi Zdzichu. Jasni Bzik nie powie głośno, że Zdzichowy pies wygryzł mu tyłek i na dodatek obszekeł, bo Jasni nie ma głosu, a tego, co pokazuje na mięt, Zdzichu i tak nie rozumie.

Niedawno Zdzichu powiedział, że możemy podyskutować. Usiadł na stołku (zawsze przychodzi ze stołkiem) i czekał. Wszyscy milczeli, bo Zdzichu nie powiedział, o czym wolno dyskutować. Wreszcie wstał Bynio i zauważył, że babki z błota nie są dobre, bo się rozlażą, lepsze byłoby z piasku. Kiedy Zdzichu poczerwieniał, a cisza zrobiła się jeszcze większa, Bynio zalał się trochę i zrezygnował z połowy piasku. Zdzichu jednak czerwieniał dalej. Czekaliśmy, że Bynio się rozplacze i przeprosi, ale on uparł się głupio i prowokował. Na szczęście wstał Tomuś Wykręt i powiedział, że najlepiej nie robić babek wcale. Wszyscy ucieszyli się, a potem już nie dyskutowali, tylko poszli na kłóję. Ja zostałem na chwilę, bo myślałem, że Zdzichu pozwoli mi posiedzieć na stołku. Ale nic z tego. Dostałem po uszach.

Wczoraj mieliśmy na podwórku piekło. Ktoś przykleił na klatce kartkę z napisem „Abliżający Zdzichowi”. Miśka i Mucha rzyły, a chłopaki przestępowali z nogi na nogę, bo Zdzichu nie pozwolił nikomu usiąść. Ja stałem za stołkiem Zdzicha i udawałem, że mnie nie roznosi, a roznosiło, że ho ho!

Od paru dni jestem prawą ręką Zdzicha. Po tym, jak mi dał po uszach, nie miałem już nadziei, ale... Odcignął mnie niespodziewanie na bok i powiedział: „Przemyslałem, chyba się nadasz. Co prawda dobrze jest mieć to we krwi, ale jeśli się

będiesz bardzo starał, na adiutanta się nadasz”. Więc jak miało mnie nie roznosić?

W pewnym momencie Zdzichu potrząsnął głową, więc ja nadąłem się cały i wrzasnąłem: — Cicho, głupie!

Miśka i Mucha zakrzuszyły się łzami, wybaluszyły oczy jak żaby, ale przestały ryczeć. Zdzichu wstał, otrząpiał spodnie, odwrócił się i wypiął na wszystkich.

— Ooo! — powiedział na odchodnym.

— Ooo! — powtórzyłem idąc za nim, ale nie uszedłem daleko, bo zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Pierwszy z wrażenia otrząsnął się Bynio: — To ja już pójdę — zawołał. Zastąpiłem mu drogę. — Nikt nigdzie nie pójdzie — zarządziłem. — Najpierw przeprosicie Zdzicha!

Miśka i Mucha znowu zaczęły ryczeć.

— To niech one przeproszą! — burknął Bynio.

— Wy ze mnie i ze Zdzicha nie róbcie trąby! — w zdenerwowaniu podskoczyłem do Miśki i Muchy i dalem im po głowach.

— Te pingwiny by coś takiego napisały? — zadrwił Bynio.

Miśka i Mucha z bektem poleciały do domu.

— To ja też już pójdę — powtórzył Bynio i odwrócił się, a za nim reszta chłopaków.

— Żeby mi tu jutro wszyscy byli! — zawołałem, kiedy znikali już za drzwiami. Zostałem sam. Na drugim piętrze skrzypnęło okno. — Oho, Zdzichu już wie, będzie wściekły.

Bezmyślnie miąłem w ręce tę cholerną kartkę: „Zdzichu jest głupi”. — Co prawda to prawda — pomyślałem — ale po co o tym zaraz pisać?

DOMINIK
Rys. Zbigniewa Szulca

refleksje



Skąd tu tyle kwiatów? Pną się, zwisają, oplatają regały. Do tego jeszcze mała galeria. Temat: „Lato”. Poprzedziły ją wystawy rysunków z konkursów „Najpiękniejsze baśnie i bajki” oraz „Moje miasto za dziesięć lat”. Stałych bywało Oddziału dla Dzieci Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Łomży nie trzeba namawiać do udziału w takiej zabawie. Gdyby tak jeszcze zdobyć trochę więcej miejsca...

Księgozbiór liczy już prawie 24 500 książek. Oddział zajmuje tylko dwa pomieszczenia o powierzchni 86 metrów kwadratowych. Kiedyś w jednym była czytelnia, w drugim — wypożyczalnia. Dzisiaj trudno nazwać czytelnia kąci między trzema regałami, składający się z dwóch stolików, czyli ośmiu miejsc, wydzielonych z części wypożyczalni. Po dawnej czytelnii nie ma śladu. Urządzono tam magazyn. Książki sięgają prawie sufitu, regały zasłaniają okna. Do magazynu można by nie wchodzić codziennie, ale tutaj znajduje się księgozbiór podręczny (encyklopedie, słowniki, leksykony, albumy) i prasa, które udostępnia się czytelnikom „na okrągło”.

Wypożyczalnia także pęka w szwach. Przejścia między regałami stają się coraz węższe, nie mówiąc o tym, że ich wysokość nie jest przystosowana do wzrostu najmłodszych czytelników. Tu także panuje półmrok, bo nie ma już swobodnego dostępu do okien.

Mimo tych trudności lokalowych w I półroczu br. odbyły się dwa (wspomniane) konkursy plastyczne, recytatorskie — na najładniej przeczytaną bajkę i bibliotecznego mistrza recytacji — oraz gry literackie (szczególnie ulubione przez dzieci). Towarzyszyły im także imprezy czytelnice, m.in. poświęcone życiu i twórczości Kornela Makuszyńskiego. Niedawno powstał zależek Kola Przyjaciół Książki. Z lekcji bibliecznych, organizowanych podczas majowych Dni Kultury Oświaty, Książki i Prasy, w tym roku skorzystało ponad 400 uczniów. W

ten sposób zapoznają się oni z działalnością biblioteki, zdobywają umiejętności korzystania z katalogu i ze zbiorów.

wa, które udostępniają nam swoje świetlice.

Co robi bibliotekarz oprócz wypożyczania książek? Lista obowią-

książkom przystoja pałace



W księdze pamiątkowej znajdują się nazwiska autorów piszących dla dzieci. m.in. Adama Bahdaja, Wiesława Wernica, Jerzego Chmielewskiego, Anny Przemyskiej, Marii Szuleckiej, Włodzimierza Piotrowskiego. Czy to możliwe, aby te spotkania, imprezy i konkursy odbywały się w pomieszczeniach biblioteki?

— Niestety, nie, chociaż atmosfera wypożyczalni jest niezwykle ważna — mówi Grażyna Fedorezyk, bibliotekarka. — Dlatego też bardzo sobie cenimy współpracę ze Szkołą Podstawową nr 4 w Łomży oraz Łomżyńską Spółdzielnią Mieszkani-

ków ciągle się wydłuża: układanie katalogów, przegląd nowości, gromadzenie wycinków prasowych, prowadzenie zeszytu udzielonych informacji oraz codziennej statystyki, protokolowanie zniszczonych woluminów, pomoc w doborze książek, układanie dziennika wydarzeń na podstawie prasy, no i praca kulturalno-oświatowa z czytelnikami.

Wypożyczających i książek ciągle przybywa. W tym roku do dyspozycji 1810 czytelników doszły 743 nowości. Z księgozbioru Oddziału korzystają nie tylko uczniowie szkół podstawowych; 600 osób to nauczy-

ciele, słuchacze Zespołu Studiów Nauczycielskich w Łomży, młodzież. Tych ostatnich przede wszystkim przyciągają lektury, które w Oddziale łatwiej zdobyć niż w niejednej bibliotece szkolnej. Dziennie przewija się tutaj około 150 czytelników. Są wśród nich osoby z długoletnim „stażem”; zaczęli przychodzić tu w towarzystwie swoich rodziców — dzisiaj są studentami, przyprowadzają własne dzieci.

Ruch w wypożyczalni nie maleje nawet podczas wakacji. Wnuki przychodzą po książki dla dziadków, mamy — dla nudzących się pociech, a co zapobiegliwi wykorzystują letni wypoczynek na czytaniu szkolnej lektury.

Niestety, nie wszystkie książki wracają na swoją półkę, choć za zniszczenie lub zgubienie woluminu trzeba zapłacić 6-krotną jego wartość. — Najbardziej martwi nas to — mówi Grażyna Fedorezyk — że bez troskę za brak odpowiedzialności za własność społeczną przejawiają nawet rodzice. Dla niektórych książka jest rzeczą bezwartościową. Brakuje kilku stron? Są plamy, pozaginane kartki i oderwane okładki? A co to przeszkadza! Kolorowe obrazki wycinają nie tylko dzieci! Często nie reagują na nasze upomnienie (czasem kilkakrotnie) o zwrot książki. Zdarza się, że idziemy do domu. Co słyszymy wtedy od rodziców, przykro wspominać. Mamy nawet 6-letnich dłużników. Bywa, że wzburzona matka wpada do biblioteki i, nie przebierając w słowach, mówi o „zawracaniu głowy”, „czepianiu się” i „traceniu czasu”.

We wrześniu do wypożyczalni przy placu Żeglckiego powrócą stali bywalcy. Przybędą nowi. Znowu ustawia się w dużej kolejce, a potem będą przeciskać się między regałami. Może za kilka lat, jak wyobraża to sobie pewna uczestniczka konkursu „Moje miasto za dziesięć lat”, wejdą do Pałacu Kultury Dzieci, który będzie siedzibą biblioteki.

GABRIELA SZCZESNA

Fot. STANISŁAW HOROSZ

KONTAKTY
2 IX 1984

prezentacje



— W takim razie mogę was nieco pocieszyć, biedne niewiasty — rzekł Natan. — Zabity musiał być niezawodnie przyjacielem i towarzyszem pięciu Indian, którzy was ścigają. Powiadano mi, jako rzecz najpewniejszą, że dzicy, znalazłszy zamordowanego któregoś ze swoich bliskich, zajmują się nim i zaprzestają ścigać zdobycę; nie macie więc czego się obawiać. W każdym razie postaramy się z małym Cukiernikiem wyprowadzić was z tych bezdroży.

Po tych zapewnieniach Natan ruszył szybkim krokiem naprzód, prowadząc grono podróżników z otwartego lasu w labirynt krzaków i bagien ścieżkami, które nie ludzie, ale raczej niedźwiedzie i wilki wydeptały.

Tymczasem zapadła noc coraz czarniejsza, a z daleka dolatywał huk gromu, zapowiadający nową burzę. Rolanda przejmowała obawa, ażeby Natan, pomimo znajomości puszczy, nie zbłąkał się w ciemnościach, ale myśliwiec postępowal naprzód pewnym i szybkim krokiem, wy-

rażając się przy tym z pogardą o niebezpieczeństwach i przeszkodach i zapewniając, że okolicę tę zna tak dobrze, jak własną kieszeń.

— Gdy pierwszy raz tutaj przybyłem — mówił — zbudowałem sobie małą chatkę, ale Indianie spalili ją, i gdyby mnie Cukierek dość wcześniej nie ostrzegł, byłbym się upiekł w płomieniach. Bądź spokojny, bracie, prowadzę cię jak najlepiej środkiem tych zarośli, i szybciej, niż przypuszczasz, znajdziesz się przy brodzie w gronie swych towarzyszy.

Słowa te wpłynęły uspokajająco na strwożonych podróżników, a że las zaczął się przerzedzać i ścieżka nieco rozszerzyła, Roland, korzystając z tego, podjechał bliżej ku Natanowi i zawiązał z nim rozmowę spodziewając się dowiedzieć dokładniejszych szczegółów o losach tego człowieka, od którego doznał tyle usług w tak krótkim czasie. Kwakier jednak nie okazywał wielkiej chęci do zwierzeń, więc Roland dowiedział się o jego życiu zaledwie następujących szczegółów.

Kiedy Natan przybył do Kentucky, budował sobie z kolei kilka chat, z których go raz za razem wrogie pokolenie Osagów wypędzało. Znużony tymi napadami, zmordowany ustawicznym narażaniem się na niebezpieczeństwa, a na koniec prześladowany przez innych osadników za to, że nie chciał brać udziału w walkach z dzikimi, porzucił stałą siedzibę i zapuścił się w lasy. Odtąd dzień za dniem, rok za rokiem schodziły mu na błędzeniu po puszczy i polowaniu, z którego siebie i psa utrzymywał. Innych szczegółów o swoim życiu nie chciał Rolandowi udzielić, wywijając się zręcznie z czynionych mu pytań, tak iż w końcu, straciwszy wszelką nadzieję wydobycia z niego więcej objaśnień, zaprzestał dalszych badań, spodziewając się, że może kiedyś zjedna sobie większe zaufanie dziwaka. Niemniej i zmiana okolicy przyczyniła się do przerwania rozmowy. Las był coraz rzadszy, a miejsce liściastego sklepienia zajęło ciemne niebo, zasiane milionami skrzających się gwiazd. Na wprost podróżnych ukazał się głęboki parów, wśród którego dawał się słyszeć szum bałwanów bystro pędzącej rzeki.

Rozdział VII

SPALONA CHATA

Ryk huczących fal nową trwogą napełnił serca kobiet: im bliżej znajdowały się brodu, tym bardziej wzrastał ich przestrah.

— Nie lękajcie się — uspokajał je Natan. — Jedem Osag, czatujący w zasadce, stokroć jest niebezpieczniejszy od tych spienionych fal. Bród jest pewny, bracia moi, a jeżeli woda zamacza sukienki niewiast, to niechże pamiętają o tym, że nóż Indianina, zdzierającego skórę z czaszki, nierównie gorsze robi plamy.

— Prowadź nas tylko, stary puszczyku! — odezwał się pierwszy raz Colbridge. — Nie boję się twej wody, a mój koń pływa doskonale, jak kaczka.

— Jeżeli tak — orzekł Natan — to może mi pozwolisz wsiąść za siebie.

Colbridge nie miał nic przeciwko temu skromnemu żądaniu przewodnika i właśnie Natan zabierał się wsiąść na konia, kiedy Roland spostrzegł, że Cukierek nie ma chęci zamaczać swojej sierści, gdyż zaczął pana swego lekko drapać w lydę i skowyczeć cicho, jak gdyby domagał się, żeby go wziął za siebie na konia. Jakież było zdziwienie



czekoladowa gwiazda(2)



Wszystko to, co dzieje się wokół Michaela, przypomina gorączkę, która towarzyszyła występom Elvise Presleya. Na jego kulcie dobrze zarabiają producenci różnych maskotek i drobniaków, związanych z osobą piosenkarza. W całych Stanach Zjednoczonych malolaty wykupują plakaty, płyty, guziki z jego podobizną, kajdanki z „Thrillera”, czapki podobne do tych, które nosi Jackson. Modne są również białe rękawiczki, ale wkładane tylko po jednej, ponieważ tak ubiera się gwiazda. Nie jest to jednak nonszalancja idola; Michael uległ wypadkowi podczas kręcenia teledysku do „Beat II” i poważnie poparzył sobie rękę.

„Jacksonomania” staje się także problemem w amerykańskich szkołach. Władze szkoły średniej w Bound Brook wydały temu walkę i zabroniły noszenia białej rękawiczki. Uczniowie zbuntowali się, zorganizowali strajk i wygrali. Władze szkoły doszły do wniosku, że z czasem „jacksonomania” minie i uczniowie z własnej woli pozbedą się rękawiczek.

Kolejnym przykładem amoku jest historia 13-letniej Lillie Frieveson z Los Angeles, która przestała jeść mięso i spać na tapczanie, a zaczęła intensywnie studiować „Biblię” i ubierać się w kurtki z paciorkami; przestała też rozmawiać z rodzicami — bo tak postępuje jej idol: jest cichy, mało mówny i niezwykle tajemniczy. Gdy dziennikarze zapytali jej matkę, co sądzi o tym wszystkim — odpowiedziała: „że zdolna jest nawet kupować codziennie czerwona marynarkę z koralikami za 350 dolarów, aby tylko nie stało się Michaelowi, bo wtedy nie będzie pewna zdrowia i życia swojej jedynaczki”.

Michael Jackson jest człowiekiem bogatym. Jego osobisty majątek wzrósł w ciągu półtora roku do 75 milionów dolarów. Wydany w grudniu 1982 roku „Thriller” rozszedł się w 35 milionach egzemplarzy i stał się najlepiej sprzedawaną płytą wszechczasów. Przypadać musi, że idol potrafi robić pieniądze. Czuwa reszta nad tym cały sztab specjalistów. Zwykle swoje albumy po-

przedza wielką ilością singli, co przynosi mu niezły dochód. Zanim ukazał się „Dreszczowiec” — Jackson zdążył sprzedać na singlach siedem piosenek pochodzących z tego albumu.

Ostatnio zaczął nagrywać w duecie ze sławnymi gwiazdami rocka. Po udanym przeboju z McCartninem: „Say, Say, Say” zarejestrował także piosenkę z Dianą Ross i Mickiem Jaggerem. Jest podpora MTV (kabelowej sieci telewizyjnej, gdzie prezentowana jest wyłącznie muzyka). Potrafi też sprzedać to, co już zostało sprzedane; np. film o robieniu „Thrillera”, zatytułowany „I Wasa — Teenage — Werewolf”, sprzedał za 1200 tysięcy dolarów. Atmosfera ciągłego podniecenia i niezwykła popularność muzyki, pozwoliły mu — co jest ewenementem — na siedzenie w domu i liczenie wpływającej na konto mamony.

Jednak nie pieniądze są najważniejszą rzeczą, która interesuje Amerykanów u Michaela Jacksona. Wszystkich ciekawi to, dlaczego ten — dojrzały już — mężczyzna śpiewa dziewczęcym głosem. Od czasów Presleya ludzie zajmowali się życiem intymnym gwiazd estrady i filmu, nigdy jednak nie stawiali publicznie pytań związanych z życiem łóżkowym artystów. Z Michaelem sprawa jest inna. Nikt autorytatywnie nie może stwierdzić, czy Jackson jest homo- czy hetero. Dziennikarze prześcigają się w sensacyjnych artykułach na ten temat, ale wszystko na nie. Michael nigdy nie wypowiedział się na ten temat. W prasie najczęściej stawiane są pytania: czy przyjmował hormony, by zatrzymać swój dziewczęcy głos, czy został wykastrowany, a może poddał się operacji zmiany płci?

Michael dowiedział się o tych dywagacjach w 1977 roku — podczas konferencji prasowej. Gdy jeden z fanów rzucił się na niego z okrzykiem: „Nie! Ty nie jesteś dziewczyną!” — zaskoczony piosenkarz spytał, dlaczego tak myśli, i wtedy bomba wybuchła. Gdy w ubiegłym roku Michael Jackson odmówił udzielania wywiadów — domysłów namnożyło się jeszcze więcej.

Rolanda, gdy ujrzał, że Natan, migiem błyskawicy zeskoczył z konia, zaczął się z największą niespokojnością oglądać w koło.

— Cukierku — szepnął Natan, głaszcząc psinę — twój wąż jest lepszy od moich oczu; wszakże nie chcesz, ażeby w twoich oczach Indianie pomordowali te biedne kobiety.

— Co to jest? — zapytał Roland z niespokojnością. — Co ty mówisz o morderstwie?

— Mów ciszej — odpowiedział kwakier — i spojrzysz na drugą stronę rzeki, czy nie widzisz światła pomiędzy skałami?

— I owszem, postrzegam światło podobne do błędnego ognika.

— Nie błędny ognik to, mój bracie, ale tlejące zarzewie ogniska czyhającego Osaga. Patrz, jak się rozpala od jego dmuchań, wkrótce ujrzysz cały brzeg oświetlony.

Twierdzenie Natana krótko się sprawdziło.

Światło, zrazu słabe, zwiększało się coraz bardziej, aż na koniec jasnym buchnęło płomieniem, oświetlając okoliczne skały i rzekę, a nawet twarze przerażonych wędrowców. Zarazem można było rozpoznać ciemną postać Indianina, który wciąż dorzucał do ogniska chrustu. Ile jego towarzyszy, śpiących lub czuwających, znajdowało się w zaroślach, otaczających ognisko, tego nikt nie był w stanie odkryć.

Podróżnych ogarnęło niewymowne przerażenie, przekonali się bowiem, że i Niższy Bród, do którego przybyli, zarówno był obsadzony przez Indian, jak i Górny. Roland wpadł w niewystowioną wściekłość, gotów był odważyć się na największe niebezpieczeństwo, byle raz wyjść z niepewnego położenia, w jakim się znajdowali. Nalegał na Natana, ażeby przeprowadził się przez bród, którego szum niezawodnie zagłuszy łoskot, jaki konie zrobią, przebijając rzekę.

— A choćby nas dostrzegli — mówił — to w takim razie posłemy parę kul tym opryszkom przy ognisku, a zanim się opamiętają, ujdziemy im z oczu, pędząc, co koń wyskoczy. Natanie, zajmij się kobietami, a wy, bracia moi — dodał, zwracając się do pastora i Cezara — za mną i róbcie to, co ja będę robił.

— W istocie — szepnął Natan spokojnie, ale widocznie zadowolony z meśstwa Rolanda — jesteś zarówno odważny, jak i rozumny, mój kapitanie. Ale na nieszczęście nie znasz lasów i przebiegłości dzikich. Planu twego wykonać nie zdołamy, bo nim wejdziemy w wodę, dojrzą nas. Patrz na blask ogniska, odbija się w falach, a jak one bystro się toczą. Wszedłszy do wody, zaledwie wiele będziemy mieli z nią do roboty, ażebyśmy mogli bronić się przeciw dzikim, którzy nas, zanim dostaniemy się na drugi brzeg, wystrzelają jak kaczki. Martwiłbym się do śmierci, gdyby która z tych biednych dziewcząt otrzymała postrzał. Nie, nie, musimy koniecznie zejść z drogi tym łotrom.

— Ale gdzie i jak? — odrzekł Roland zgnębiony.

— W miejsce ciche i spokojne, gdzie będziemy mogli bezpiecznie oczekiwać, aż nastąpi sposobność przebycia rzeki z dala od tych czujnych ogarów.

— Nie tracmy więc nadaremnie czasu. Prowadź nas w to miejsce, chociaż wątpię, ażeby w tych przeklętych lasach podobne istnieć mogło.

— A jednakże jest takie miejsce, przynajmniej dla zmarłych — szepnął Natan drżącym głosem, prowadząc podróżnych na powrót. — Dziewięć nieszczęśliwych ofiar tam spoczywa: dziadek, babka, ojciec, matka i pięć biednych dzieci. Tak, tak, trudno znaleźć śmiałość, choćby nawet w jego czerwonym cielsku dusza Osaga siedziała, ażeby wśród nocy odważyć się przybliżyć w to miejsce straszliwe. Mówią bowiem ludzie, że, gdy północ nadejdzie, cienie pomordowanych błądzą po zwa-

liskach chaty, bolesne wydając jęki. Ja z moją psiną biedną nieraz tam przepędzałem spokojne noce, chociaż spomiędzy otaczających drzew niejednokrotnie zdawały się nas dochodzić jakieś jęki.

Słowa te przywidły na myśl Rolandowi to, co słyszał od pułkownika o nieszczęśliwej rodzinie Ashburna, która została niespodziewanie zaskoczona i wymordowana przez dzikich. Mimowolnie ogarnął go wstręt do szukania przytułku w miejscu, którego krwawe dzieje przejmowały trwogą serca wszystkich osadników. Nie było jednak wyboru. Natan twierdził, że tylko tam mogą znaleźć bezpieczne schronienie, udał się więc w milczeniu za przewodnikiem doświadczonym.

Po raz ostatni obejrzawszy się na ognisko, którego blask w sam czas oznajmił groźne niebezpieczeństwo, podróżni wjechali na wyrąb, przed laty ludzką ręką dokonany; atoli miejsce to, niegdyś bujnym złocone się zbożem, dziś było zarosłe krzewami i chwastami. Głęboka cisza lasów, spóźniona godzina, wspomnienie strasznego mordu, wszystko to razem przyczyniło się do powiększenia grozy tego opustoszałego ustroja. Wicher, przedzierający się przez gałęzie, smutnie jęczał, przywołując na myśl cienie pobitych ofiar.

Naraz nowa trwoga przeraziła podróżnych: po chwilowej ciszy wicher zawył gwałtownie; jeden z olbrzymich pni, stojących samotnie wśród zrzebu, zachwiał się i runął z okropnym trzaskiem, a pod jego brzemieniem ziemia zadrziała.

Wypadek ten szczególnie na Edytę oddziałł. Zdawało jej się, że to zapowiedź jakiegoś nowego nieszczęścia. Piesek strzelca cicho, ale żałośnie, zaskomlał, a Natan na to odezwanie się swego towarzysza natychmiast odpowiedział: — Dobrą masz pamięć, biedny Cukierku, chociaż pięć lat dla ciebie jest bardzo długim przeciągiem czasu. Pod tym właśnie drzewem, które runęło, zamordowano sędziwą babkę, starszyczkę o srebrnych włosach.

— Widziałeś tę straszną rzekę? — zapytał Roland Natana.

— Ach, mój bracie — odrzekł kwakier — była to pierwsza i ostatnia rzekę, przy której musiałem być obecny. Zamieszkałem w tym czasie chatkę, położoną opodal nad brzegiem rzeki; nieszczęśliwi Ashburnowie byli moimi sąsiadami, a jakkolwiek nie byli dla mnie bardzo przyjaźni z powodu mojej wiary, jednakże serdecznie lubiłem ich piękne, niewinne dzieci. Gdy więc raz jednego dostrzegłem ślady bandy Indian, skierowane ku mojej chacie, pomyślałem sobie: mniejsza o to, niech niszcza moja siedziba, a zanim tego dokonają, będzie dość czasu ostrzec Ashburna, ażeby ze swoją rodziną i dobytkiem schronił się do osady pułkownika „Brucego”.

Przestroga jednak moja, zamiast nakłonić go do ucieczki, przyjęta została przez niego i całą rodzinę śmiechem lekceważenia, gdyż w owym czasie już ludzie mieli serca zatwardziałe dla mnie, a uszy na moje słowa zamknięte, albowiem nie chciałem walczyć, tak jak oni, z Indianami. Natenczas, widząc, że nie zważają na moje przestrogi, pobiegłem do osady, zaklinając pułkownika, ażeby z oddziałem konnych pośpieszył ku chacie Ashburna i odstraszył napastników, którym bynajmniej nie życzyłem śmierci.

Ale w osadzie powiodło mi się jeszcze gorzej, gdyż wyszydzono mnie publicznie; wtedy wpadłem w rozpacz i postanowiłem nie wracać do swej chaty, ażeby nie być świadkiem rzezi biednych kobiet i młodej dziewczyny, bo jej nie byłem w stanie przeszkodzić.

Nagle przyszło mi na myśl, iż może Indianie, nie znalazłszy mnie w chacie, zaczęli się dokoła niej w oczekiwaniu na mój powrót, a tym samym opóźniając napad na dom mojego sąsiada, którego będę mógł jeszcze raz ostrzec.

słoneczne wieczory

Już w najbliższym dziesięcioleciu mogą być zbudowane modele reflektorów kosmicznych, odbijających na naszą planetę światło słoneczne. Taki „zajęczek” może oświetlić jeden lub kilka dużych rejonów, położonych w różnych strefach czasowych. W Moskiewskim Instytucie Lotniczym powstaje projekt eksperymentu orbitalnego z satelitą-reflektorem o masie 200 kilogramów i powierzchni roboczej 110 metrów kwadratowych. Będzie on miał przede wszystkim na celu sprawdzenie rozwiązań technicznych, stanowiących podstawę budowy przyszłego reflektora kosmicznego. Oświetlenie na powierzchni odbiornika o średnicy ok. 10 kilometrów powinno być siedem razy intensywniejsze niż w nocy podczas pełni księżyca.

Wykorzystanie satelitów-reflektorów dla przedłużenia dnia na kilka godzin w dużych miastach zapewni doskonale oświetlenie (bez cienia) ulic, magistrał transportowych, budow. Obliczono, że będzie to opłacalne przedsięwzięcie; na przykład: nakłady na zapewnienie oświetlenia z kosmosu pięciu takich miast, jak Moskwa, zwrócą się tylko dzięki zaoszczędzeniu energii elektrycznej już w ciągu 4-5 lat.

TANIE DANIE

wątróbka smażona z selerami

Składniki: 25 dkg wątróbki cielęcej lub wieprzowej, 25 dkg selerów, 4 dkg tłuszczu, 2 dkg maki, 2 dkg tartej bułki, jedna łyżeczka siekanej zieleniny, kwasek cytrynowy, sól, pieprz.

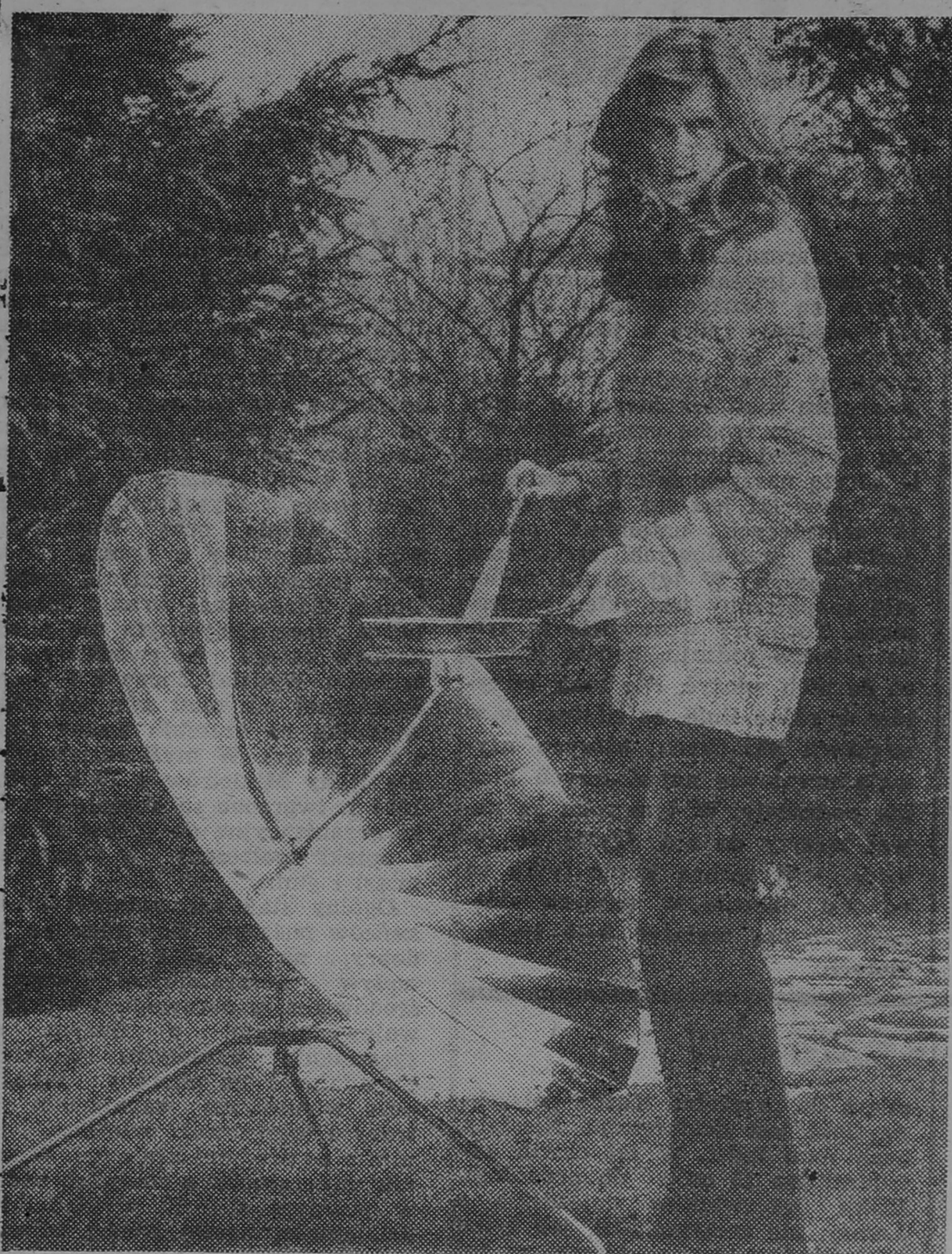
Selery opłukać, obrać, ugotować prawie do miękkości i pokrajać na 8-10 talarków, oprószyć mąką i zrumienić z obu stron na gorącym tłuszczu. Wątróbkę oczyścić z błon i żył, pokrajać na 8-10 plasterków wielkości talarków selera, oprószyć mąką, panierować w rozmaconym jajku i tartej bułce, szybko smażyć na bardzo gorącym tłuszczu, aby w środku pozostały różowe. Osolić, oprószyć pieprzem, ułożyć na talarkach selera, skropić roztworem kwasku cytrynowego, posypać siekaną zieleniną.

w ludziach wesołość

Gdyby grzmiało w styczniu — bydlę odchodzi, ludzie mrą; w lutym — słuch się psuje; w marcu — wiatry silne i czasy niezdrowe; w kwietniu — nawalności na morzu; w maju deszcze obfite i urodzaje; w czerwcu — ryb mnogość i dostatek żywności; w lipcu — drzew nieplodność; w sierpniu — węże

wyginą; we wrześniu — zabójstwa ludzi; w październiku — wiatry, burze, owoców niedostatek; w listopadzie — owoców dostatek, w ludziach wesołość; w grudniu zgodę między ludźmi i wszystko dobre tuszy.

(KALENDARZ PUTANOWICZA 1760 r.)



prośba

Na cmentarzu żydowskim odbywa się pogrzeb małego dziecka. Nad otwartym grobem stoi matka i zawodzi: — Kochany syneczku, jak staniesz przed obliczem Stwórcy, wyproś u niego dużo pieniędzy dla twoich rodziców i szczęśliwą starość. I wybłagać, żeby twoje dwie siostry mogły być zaopatrzone w duży posag, a twoi bracia, Natan i Dawid, dostali za żony dobre, ładne, pobożne i posażne panny. I żeby twojego najstarszego brata, Chaima, zwolnili z wojska. Poproś też Jehowę, żeby twój kochany wujek wreszcie wyzdrowiał...

Obok zawodzącej matki stoi, oparty o łopatę, grabarz. Kiedy

litania prośb ciągnie się w nieskończoność, grabarz trąca kobietę i mówi: — Paniusiu kochana, jak się ma tyle interesów do Pana Boga, to się nie posyła takiego małego dziecka, tylko się idzie samemu.

ROŚLINY
PRZECIW SZKODNIKOM

gorczyca polna

Popularnie nazywają ją ogniczą. Pojawia się wczesną wiosną. Nie ma specjalnych wymagań. Spotkać ją można w słożach jarznych, okopowych, warzywach i innych roślinach, sadzonych wiosną. Nasiona ogniczy mogą pozostać przez kilka lat w glebie nie tracąc siły kiełkowania. W czasie przekwitania i wytwarzania nasion w roślinie gromadzi się znaczna ilość olejku gorczycowego. Chwasi ten jest trujący dla koni, bydła i drobiu.

Dla sadowników i ogrodników przydatny jest proszek gorczycowy, który może służyć w stanie suchym do opylania gleby, lub jako zawieszka (100 gramów proszku na 10 litrów letniej wody) do opryskiwania roślin przeciw gasienicom, mszycom czy ślimakom.

ochrona przed gzami

Kolczyki w uszach chronić będą krowy przed gzami i innymi złośliwymi owadami, które nie tylko odbierają im przyjemność spożywania soczystej trawy, ale niszczą skórę i obniżają wartość mięsa. Japońsko-amerykańska firma Tirade wprowadziła na rynki kolczyki, z których wydobywa się gaz nieprzenikający głęboko w sierść zwierzęcia. Odstrasza on bądź niszczy pasożyty. Hodowcy bydła będą mogli za kilka dolarów wyposażyć krowę w kolczyki, które przez dwa lata odganiać będą pasożyty. Kolczykowa trucizna nie działa natomiast na muchy, komary i inne — mniej dokuczliwe — owady. Do ich opędzania krowie nadal służyć będzie ogon.



Po rozwiązaniu krzyżówki litery z krątek ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ułożone od 1 do 54, utworzą myśl Antoniego Czechowa.

POZIOMO: 1) wędkarski sznurek, 6) potwór 9-głowy, żyjący w błotach Lery, 9) spoczywa na cięgniku siodłowym, 10) ptak z rzędu kraskowatych, 11) szkodliwy owad, 12) kontrola, 13) taczka dwukołowa, 16) gruszka lub kara cielesna, 19) szkło o wysokim współczynniku załamania światła, 22) lewy dopływ Renu, 23) Stary kontynent, 24) upał, żar, 27) coś ze sprzętu pożarniczego, 30) pomyślny lub niepomyślny okres życia, 33) wykrywanie i wyznaczanie położenia danego obiektu, 34) dziki pies australijski, 35) mieszkaniec państwa ze stolicą Ankarą, 36) miasto w woj. opolskim, 37) w nim można coś sanować, 38) rodzaj abażuru wiszącej lampy.

PIONOWO: 1) broń pszczoły, 2) mała do pływania po wodzie, 3) spina splekane mury, 4) ujęcie, chwycenie, 5) pozostałość, 6) wiszące łożo, 7) prowincja rzymska utworzona po podboju Daków, 8) jeden z bohaterów „Il'ady”, 14) jedno z większych miast japońskich, 15) ma własne koryto, 17) skowronek borowy, 18) rewia, parada, 19) członek ludu germańskiego, 20) melioracyjny do odprowadzenia wody, 21) produkt mleczarski, 25) roślina rodem z Meksyku, 26) wyróżnienie sylaby, 27) w wyrazie, 27) kolarska manierka, 28) kolegialne ciało w szkole wyższej, 29) coś z potraw mięsnych, 30) kawałek materiału przyszyty do ubrania, 31) górna powierzchnia warstwy skalnej, 32) ojczyzna Hezjoda.

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania (tylko hasło), rozlosujemy nagrody książkowe.

13

KONTAKTY
2 IX 1984

Stragam pod trzynastką



warunki
prenume

status państwowego urzędnika. Awans przy tym nie jest znaczny — ta sama praca, tylko z „rezydencją” nie w szkole, lecz w urzędzie gminy, i to nie zawsze, ponieważ są takie gminy, gdzie nie udało się wygospodarować miejsca na dodatkowe biurko. Poza tym — np. w gminie Przytuły — inspektor będzie rządził jedynie dwoma szkołami, a i w paru innych gminach inspektorzy będą chyba musieli wy-

kazać się niejaka pomysłowością w znalezieniu sobie zajęcia.

Oficjalnie twierdzi się, że zarządzenie jest słuszne, gdyż odciąża przepracowanych gminnych dyrektorów szkół. Ja sądzę jednak, że nie ma tego dobrego, co by na zle nie wyszło: spójrzcie na urzędnika na szkole jest zawsze inne niż nauczyciela i jej dyrektora. Zmienia się też punkt widzenia na sprawy szkoły, gdy się jedynie nadzoruje, kieruje, kontroluje...

wieści gminne

ŚNIADOWO. Na dwa miesiące (od 27 sierpnia) została oddana do remontu miejscowa piekarnia. Zaopatrywania gminy w chleb podjęły się sąsiednie gminy. Codziennie z Piątnicy będzie dojeżdżało 600 bochenków i 100 z piekarni w Konarzycach. Ponoć mieszkańcy gminy nie odczuwają przerwy w działalności piekarni.

◆ Został otwarty — długo oczekiwany — sklep w Kozikach. Teraz do pełnego szczęścia mieszkańcom wsi brakuje wprowadzenia tam sprzedaży wódki, wina i piwa. O wyrażeniu zgody na sprzedaż piwa GS wystąpił już do wojewody.

◆ „Ponal” bez boju ustąpił pola geesowi, który gęś zastąpił półką różnymi alkoholami w śniadowskim sklepie spożywczym. „Ponal” na pewno nie zaopatrzyłby go lepiej; może jedynie za jego „panowania” mniej byłoby w sklepie much.

◆ Mimo że gmina otrzymuje za miesiąc 6,5 tony mięsa i wędlin na miesiąc oraz 300 kilogramów kurcząt (norma na sierpień), i tak całego zaopatrzenia nie wykupuje. Uzyskane tą drogą „nadwyżki” trafiają do restauracji „Śniadowianka”. Gdyby nie one, bywalcom pozostałoby do konsumpcji jedynie dania jarskie.

◆ GS — nie wiadomo, z jakich względów — zaopatruje się w Zakładzie Gospodarczym w Kolnie, z czego wynika dziwne konsekwencje. Mimo obowiązujących rozdzielników — odpowiedź na pytanie telefoniczne o towar brzmi sawsze:

wystawy

Biuro Wystaw Artystycznych w Łomży, ul. Armii Czerwonej 19 (czynne codziennie — oprócz niedziel i dni poświątecznych w godz. 12.00—18.00, w soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): „Łomża” — malarstwo łomżyńskich artystów.

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży, ul. Sadowa 2: prace plastyków amatorów; „Obchody Święta Kultury Staropolskiej” — fotograficzna. **Miejski Dom Kultury — Dom Srodowisk Twórczych w Łomży, ul. Wojska Polskiego 1:** malarstwo Gyarfasa Jeno Lőrinczego.

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1 (czynne w środy i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00): bursztyny z dorzecza Narwi środkowej, „Łomżyńskie w 40-lecie Polskiej Ludowej” — czasowa.

Klub „Galeria” w Łomży, pl. Żeglarskiego (czynny codziennie w godz. 12.00—18.00): „Łomża — dworzec kolejowy z lat międzywojennych” — fotograficzna; fotograficzna Mariana Stachowiaka; „Białowieża i okolice” — fotograficzna Wojciecha Surawskiego.

imprezy kulturalne

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: występ młodzieżowego zespołu „Klincz” — 30 VIII, godz. 17.00 i 18.30; koncert Zespołu Pieśni i Tańca „Litwa” z Wilna — 1 IX, godz. 18.00.

Miejski Dom Kultury — Dom Srodowisk Twórczych w Łomży: dyskoteka — 31 VIII, 1 i 4 IX, godz. 19.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wysokim Mazowieckiem: spotkanie młodzieży przebywającej na wakacjach w Wysokim Mazowieckiem (w programie część artystyczna i dyskoteka) — 30 VIII, godz. 19.00; „Pożegnania wakacji” — impreza dla dzieci — 31 VIII, godz. 17.00; wieczorek taneczny dla mieszkańców miasta (w muszli koncertowej) — 2 IX, godz. 19.00.

nie ma. Natomiast jeśli pojedzie tam zaopatrzeniowiec i zafryzy w kartoteki — nigdy nie wraca pustym samochodem.

CZYŻEW. Bystrzy obserwatorzy życia w osadzie zaobserwowali taki fakt: w roku 1956 pod kościołem stała każdej niedzieli osiem rowerów; teraz zajeżdża tam 120 samochodów.

◆ Mimo że w Czyżewie funkcjonuje wielki, nowoczesny pawilon handlowy — meble sprzedawane są w ciastym sklepie z artykułami do produkcji rolnej. Ponoć w pawilonie klienci mieli łatwiejszy dostęp do mebli i kradli elementy, które dawały się odkręcić. Poza tym ekspozycja jest niepotrzebna: zainteresowani ustawiają się w kolejki już wtedy, gdy wagon z meblami wyrusza z fabryki.

◆ Zbębni są dozorczy nocni w okolicy sklepu mięsnego. Klienci trzymają tu straż od 1.00 w nocy. Dla mniej wytrwałych podajemy informację: jeśli chcesz kupić szampon do włosów, bacznie obserwuj kiosk przy stacji PKP w Czyżewie. Kiedy ustawia się przy okienku dwie — dobrze znane czyżewianom — osoby, możesz być pewny, że dzisiaj będzie towar. Do stacji nie radzimy udawać się pojazdem: droga jest pełna wyrw i łatwo można złamać resor.

◆ Bywalcy miejscowej restauracji przyzwyczaili się do tego, że wraz z piwem muszą obowiązkowo skonsumentować przystawkę. Nie mogą jednak pojąć — dlaczego za wypicie piwa z półlitrowej butelki wymagana jest od nich butelka na wymianę.

Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu (czynne codziennie oprócz niedziel i dni poświątecznych — w godz. 9.00—16.00, w niedziele i święta w godz. 10.00—18.00): monograficzna Krzysztofa Kluka, historia uprawy ziemi, mechanizacja rolnictwa, transport wiejski, tkactwo ludowe, rybołówstwo słodkowodne, pszczelarstwo, Skansen Mazowiecko-Podlaski; Muzeum Weterynarii; „Polskie tradycje zielarskie”; czasowa: „Motywy roślinne w malarstwie” — zbiory Muzeum w Białymstoku i Ciechanowcu.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Kolnie: „Zabytki ziemi najbliższej — Kolno 84” — poplenerowa plastyków amatorów; „Dawne sprzęty gospodarcze” — czasowa.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: „Moja rodzinna ziemia” — prace plastyków amatorów z gminy Rajgród.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Szczuczynie: „40-lecie PRL” — fotograficzna; „63 dni” — książki o Powstaniu Warszawskim.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Ciechanowcu: „Ciechanowiec w 40-lecie”.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: prace dzieci z koła plastycznego MGDK w Zambrowie.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grajewie: film polski w plakacie.

Gminny Ośrodek Kultury w Nurze: dyskoteka dla młodzieży — 31 VIII, godz. 19.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: dyskoteka — 29 VIII i 1 IX, godz. 20.00; wiec mieszkańców miasta z okazji 45 rocznicy wybuchu II wojny światowej i 40 rocznicy wyzwolenia Zambrowa — 1 IX, godz. 19.00.

Gminny Ośrodek Kultury w Sokolach: dyskoteka — 29 VIII, godz. 19.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Ciechanowcu: Kiermasz szkolny — 31 VIII, godz. 12.00; dyskoteka — 30 VIII i 1 IX, godz. 19.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: „Rajgrodzianie są wszędzie” — 30 VIII, godz. 18.00; „Bezdroża świata” (impreza dla dzieci) — 31 VIII, godz. 16.00; „Lefna śmieczna dyskoteka” — 5 IX, godz. 18.00; „Lato z filmem” (w plenerze) — 30 VIII, godz. 22.00.

sprintem przez boiska

Niepowodzeniem zakończyła się wyprawa piłkarzy ŁKS-u do Elku. Wygrał Mazur 2:0. Przegrana łomżyńskich z liderem nikogo specjalnie nie zaskoczyła. Jednak styl, w jakim do tego doszło, zmusza do zastanowienia. Napastnicy ŁKS-u w dalszym ciągu nie potrafili znaleźć drogi do bramki przeciwnika. Jedynie Zbigniew Rańczuk (już w trzecim meczu) był wyróżniającym się zawodnikiem.

W najbliższą niedzielę, o godzinie 16.30, ŁKS będzie podejmował piłkarzy Sokola z Ostrody. Jednak forma napastników łomżyńskich nie nastroja optymistycznie.

26 sierpnia wystartowała piłkarska klasa okręgowa. W imponującym stylu rozpoczęły rozgrywki zespoły Gromu Czerwony Bór i Narwi Ostrołęka. Grom pokonał na swoim boisku groźny zespół Błękitnych Raciąż 5:0, a Narw w takim samym stosunku wygrał w Goworowie z piłkarzami Orza, którzy — po rocznej absencji — powrócili do klasy okręgowej.

Bawelna zainaugurowała rozgrywki meczem wyjazdowym w Ciechanowie z Mazovią. Pojedynek w Ciechanowie oglądało aż dwa tysiące widzów. Taka liczba kibiców jest sprawą wyjątkową nawet na meczach trzociłowców. Mecz rozpoczął się pechowo dla piłkarzy Bawelny. Pierwszą bramkę stracili już w 1 minucie, a następne — w 3 i 10. Honorowego gola dla gości zdobył Sawko w 60 minucie pojedynku. Pomimo przegranej Bawelna zaprezentowała się dobrze. W drugiej połowie meczu piłkarze z Łomży posiadali zdecydowaną przewagę, ale udokumentowali ją zdobyciem tylko jednej bramki.

W Zambrowie miejscowa Olimpia zremisowała 2:2 (0:0) ze Zwarem Przasnysz. Mecz był wyrównany. Prowadzili goście 2:0, kiedy w 63 minucie Stańczyk zdobył gola dla gospodarzy. Od tego momentu strona przeważająca byli gospodarze, co udokumentowali zdobyciem wyrównującej bramki w 80 minucie. Szczeliwym strzelcem był Wiśniewski.

Półowicznym sukcesem zakończył się debiut szepietowskiej Sparty w klasie okręgowej. W niedzielnym meczu z Makowianką Sparta uzyskała remis 1:1 (1:0). Strzelcem bramki był Panas.

Pozostałe wyniki pierwszej kolejki rozgrywek klasy okręgowej: Płońsk — Warmia 3:1, Sokół Grudusk — Ostrovia 1:1.

Natomiast w klasie okręgowej juniorów padły wyniki: Olimpia Zwar 3:2, ŁKS — Błękitni 3:0, Mazovia — Bawelna 1:1, Sparta Makowianka 3:2.

W niedzielę, 2 września, Warmia wyjeżdża do Ciechanowa, Olimpia podejmować będzie Ostrovię, Sparta — Bawelnę, a Grom spotka się ze Zwarem.

9 września rozpoczną rozgrywki piłkarzy klasy wojewódzkiej oraz juniorzy młodsi i trampkarze. Trampkarze i juniorzy po raz pierwszy rywalizować będą ze swoimi rówieśnikami z województwa ostrołęckiego. Z Łomżyńskiego w tych zreformowanych rozgrywkach wezmą udział drużyny: ŁKS-u, Olimpii, Bawelny, Warmii, Orla, Ruchu i Wisły. Cieszy fakt, że rośnie ilość klubów prowadzących szkolenie młodzieży.

26 sierpnia na strzelnicy w Długoborzu rozegrano rejonowe eliminacje o puchar Robotnika Rolnego. Zwyciężyła drużyna LZS Krajewo Borowe przez Szumowem, Kolakami Kościelnymi i Andrzejewem, a indywidualnie — Zofia Sasinowska (Krajewo B.) przed Wandą Gumowską (Kolaki K.) i Anną Daszkiewicz (Andrzejewo). Natomiast wśród mężczyzn — Andrzej Sasinowski przed Dariuszem Sasinowskim (oba Krajewo B.) i Krzysztofem Gołaszewskim (Kolaki K.).

NIEPOPRAWNI

Prokuratura Rejonowa w Grajewie postanowieniem z 20 sierpnia 1984 roku aresztowała tymczasowo Jarosława Zarzeckiego, podejrzanego o to, że w dniu 15 sierpnia br. — przed upływem 5 lat od odbycia kary pozbawienia wolności za umyślne przestępstwo podobne — działając w sposób szczególnie zuchwały zabrał, w celu przywłaszczenia, pieniądze w kwocie 2000 złotych na szkodę R. Dz. ze Szczuczyna.

Jarosław Zarzecki, zgodnie z postanowieniem Sądu Rejonowego w Grajewie, wydanym w oparciu o ustawę o amnestii, został zwolniony z odbywania kary pozbawienia wolności (1 rok i 6 miesięcy) orzeczonej wyrokiem tegoż Sądu. Mając na względzie fakt, iż podejrzany nie skorzystał z szansy powrotu do normalnego życia, oraz zważywszy społeczne niebezpieczeństwo karzanego mu czynu, proku-

rator rejonowy w Grajewie — na zasadzie art. 13 ust. 3 prawa procesowego — wydał zezwolenie na ujawnienie danych osobowych.

MGR MIROSŁAW ZIENTARSKI

WICEPROKURATOR

Wszystkim, a w szczególności pracownikom KM i KW PZPR w Łomży, którzy przynieśli ulgę w cierpieniach, okazali dobroć i pomoc oraz towarzyszyli w ostatniej drodze naszego drogiego

**OJCA I MEŻA
STANISŁAWA
PIWOWARA**

serdecznie podziękowania składają:

żona i córka.
K-6159

ogłoszenia drobne

ZAGUBIONO prawo jazdy kat. A, B, C, D, nr 1074/80, Józef Wojtkowski, Zambrow, Łomża, Osiedle Waryńskiego 4/65. K-6151

ZAGUBIONO prawo jazdy kat. A, B, nr 1274/83, Czesław Kalisiak, Łomża, Waryńskiego 2/31. K-6154

ZAGUBIONO prawo jazdy kat. B, nr 5683/70, Marek Henryk Leszczyński, Łomża, Ks. Janusza 1 10/23. K-6156

ZAGUBIONO prawo jazdy kat. A, B, T, nr 1132, Edward Rydzewski, Cedry 28, gmina Stawiski. K-6157

ZAGUBIONO prawo jazdy kat. A, B, nr 16392/75, Ryszard Popławski, Łomża, Bolesława Prusa 7/32. K-6158

ZAGUBIONO prawo jazdy kat. A, B, C, D, nr 1074/80, Józef Wojtkowski, Zambrow, Łomża, Osiedle Waryńskiego 4/65. K-6160

SPRZEDAM działkę budowlaną w Łomży, Łomża, tel. 22-32. K-6161

ZAGUBIONO prawo jazdy kat. B, nr 3823/74, Wiesław Szczubielek, Łomża, Senatorska 55. K-6165

DOM piętrowy w Łomży z działką na warsztat sprzedam Łomża, tel. 45-95 (po 20.00). K-6166

ZAGUBIONO prawo jazdy na nazwisko Jarosław Masłowski, zam. w Grajewie, ul. Elekta 22. p 2132-1

BIURO Matrymonialne „PIAST” 34-300 Łobork, skrytka pocztowa 22 — poleca usługi. p 1740-00

BIURO Matrymonialne „Mazury” Olsztyn, skrytka 336, skarbnica ofert krajowych i zagranicznych. k 94-0

KONTAKTY

POWIADAM WAM

Cieszy fakt, że od dłuższego już czasu nikt nie atakuje seksrubryki, a co za tym idzie — drukowanych przez nas fragmentów pamiętnika seksualisty. Nasi Czytelnicy pytają nas natomiast, kto jest autorem tekstu.

Spieszymy zatem donieść, że jest nim osoba mało znana, ale powszechnie szanowana, płci męskiej, obdarzona licznym potomstwem w postaci synów, córek, wnuków i prawnucząt, bowiem znajduje się ona w wieku ponademerytalnym.

Swoje wspomnienia zaczęła spisywać specjalnie na naszą prośbę, jesteśmy zatem jedynym pismem, które je drukuje i mamy do nich absolutne prawo wyłączności. Niestety, mimo usilnych starań z naszej strony — autor pamiętników trwa w niezrozumiałym uporze i nie chce podać swego nazwiska do wiadomości publicznej. Nie ustajemy w staraniach, więc być może uda nam się kiedyś go przekonać, że nie ma racji.

W końcu szczerść, z jaką opisuje perypetie lat młodości (i nie tylko), związana z okresem dojrzewania, przedwczesnego być może, lecz przecież naturalnego, można i trzeba zapisać mu na plus. W tej dziedzinie życia ciągle panuje u nas dosyć powszechne zakłamanie. Szczęśliwie nie jesteśmy i chyba długo jeszcze nie będziemy, z różnych zresztą powodów, jednakże sądzimy, że mimo tego nic, co ludzkie, nie powinno być nam obce.

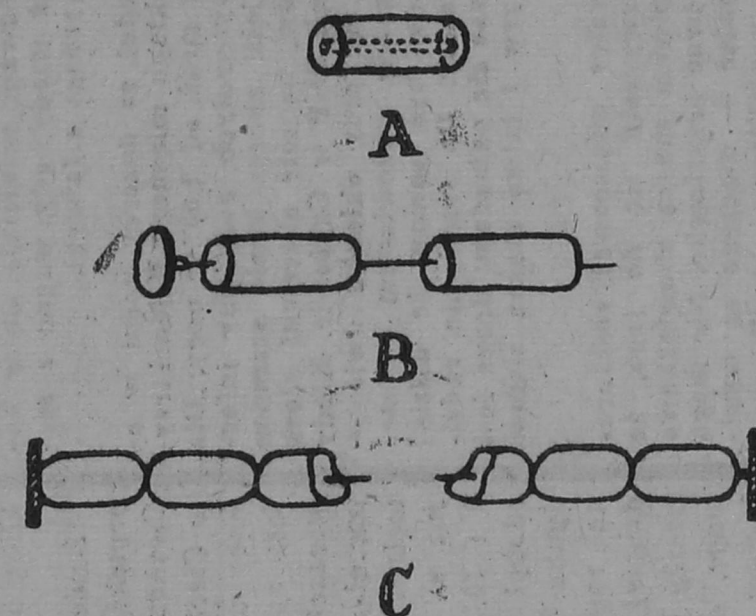
PODREDAKTOR

Lina lakira (2)

Sekret przedstawionej w ubiegłym tygodniu sztuki z liną konopną, która potrafi stać pionowo w ręce iluzjon-

sty, zasadza się na odpowiednim spreparowaniu sznura. Jego wnętrze składa się z około 50 drewnianych i zaokrąglonych na obu końcach wałeczków, przez których środek przeciągnięta jest żyłka grubości co najmniej milimetra. Wszystkie te klocki omotane są cienkim sznurkiem konopnym w taki sposób, że całość sprawia wrażenie normalnej plecionej liny. Po obu stronach żyłki umieszczamy metalowe kółeczka, zaś sama żyłka musi być dłuższa od nanizanych na nią wałeczków o około 3—4 centymetry. Naprężając palcami prawej dłoni żyłkę z kółeczkiem — spowodujemy to, że sztyw-
na lina będzie stać pionowo.

FAKIR



organ sędziowski
pod redakcją
Wiesława Majewskiego

KONSZACHTY

WYWIESZKA

ZAKŁAD ŚWIADCZY USŁUGI W ZAKRESIE PARZENIA
także herbaty i kawy

TYGODNIA

FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

Gdyby

Gdyby nie to w sklepie manko
Byłbym pewnie dyrektorem
Dzisiaj szare mam ubranko
I pracuję pod nadzorem

W celi czysto jest i schludnie
Słownik klaska za kratami
Jeść mi dają, się nie schudnie
Tylko tęskno mi za wami...

J.P. (nazwisko znane Podredakcji) — poeta i prozaik bez stałego miejsca zamieszkania. Złożył tom wierszy w kancelarii więzienia we Wronkach.



Rys. Andrzeja Adamowicza



Z racji na nasilające się kradzieże mienia państwowego z dniem dzisiejszym wprowadza się ścisły zakaz wnoszenia na teren obiektu tacek, toreb i aktówek o gabarytach większych od 15 cm x 10 cm x 20 cm. Wyżej wymienione torby o większych gabarytach należy przed wejściem do obiektu zdeponować na wartowni straży przemysłowej w wartowniku dyżurnego, który ma obowiązek wydania kwitu depozycyjnego. Jednocześnie powiadamy, że za pozostawienie w nich przedmiotów wartościowych i pieniędzy, które mogą ulec przywłaszczeniu, straż przemysłowa nie odpowiada.

DYREKTOR
(podpis czytelny)

horoskop sarmacki

Urodzeni w dni parzyste między godziną 16.35—17.37 (pod znakiem Skrofulu) odznaczają się charakterem luźnym, spokojnym i swobodnym. Są zazwyczaj weseli i nadzwyczaj dowcipni; jeśli pracują umysłowo w biurach, bywają duszą biurowego towarzystwa. Dzień cały schodzi im na pogawędki, dyskusjach, a także na robieniu różnych kawałów koleżankom i kolegom z pracy. Lubią pracować. Złe czują się podczas urlopu; brakuje im codziennej, urzędniczej krzątani.

Przychylna roślinna: miłek wiosenny (adonis vernalis)

Z pamiętnika seksualisty (8)

Podążając tedy krok w krok za ślepym Ignacem dotarliśmy na koniec do oberży „Pod Świńskim Ozorem”, w której o tej porze naszych ojców z całą pewnością być jeszcze nie mogło.

Budynek — przypominający nieco podupadły dworek szlachecki — składał się z części głównej i dwóch pobocznych skrzydeł, do tego stopnia zrujnowanych, iż wspierający się na palce można było przez puste wierzchołki wślizgnąć się do środka, co też szybko uczyniliśmy, nawzajem sobie pomagając. Wnętrze pustych komnat jeszcze gorsze na nas uczyniły wrażenie niż całe to domostwo, na odległość wiorsty pachnące uryną i kwaśnym piwem. Jednakowoż nasza ciekawość świata i tej jedynej (najważniejszej na

nim) sprawy silniejsza była od lęku i obrzydzenia, toteż, nie zważając na spróchniałe belki podłogi, mogące się rozpaść w pył pod nami, co — ma się rozumieć — w każdej chwili groziło ciężkim kalectwem lub zgola nawet śmiercią, szliśmy przed siebie ku swemu przeznaczeniu.

Niestety, i tym razem nie było nam dane uczestniczyć, choćby biernie tylko, w odwiecznym misterium, spełnianym przez picie odrębne. Kiedyśmy w końcu dotarli na niższy poziom mniej zrujnowanych komnat mieszkalnych, w jednej z nich ozwał się krzyk śmiertelny, a zaraz potem na korytarz wpadł Jaśko Drań, pędzony przez jakąś matronę w nader skąpym odzieniu. (Cdn.)



Rys. Waldemara Rukcia

MAŁA ENCYKLOPEDIA WIEDZY Tajemnej

Ibrahim Ali Abna
(żył na przełomie XVIII—XIX w.)

Arab, założyciel i przywódca mało znanej a tajemniczej sekty Noidów. Liczyła ona zaledwie kilkadziesiąt osób, starannie dobieranych przez Ali' Abnę, który — wedle stanu współczesnej nam wiedzy — najprawdopodobniej był hipnotyzą i telepatą o niespotykanej w dziejach ludzkości sile oddziaływania.

Ludzie, których Ali Abna przyjmował do sekty, byli mu wierni i oddani do ostatecznych granic. On sam kierował ich poczynaniami, najczęściej na odległość. Koncentrując się potrafił wydawać im rozkazy np. zamordowania kogoś lub popełnienia samobójstwa.

Uznany za niebezpiecznego przestępcę i ścigany przez władze — znalazł się w końcu w potrzasku razem z grupą czterdziestu swoich wyznawców. Jednak nie wzięto nikogo żywcem z domu, w którym przebywali Noidzi. Ali Abna — siłą woli — rozkazał sobie i innym przestać żyć...

WYNIJ ZACHOWAJ SPRZEDASZ

Z ZYSKIEM W ANTYKWARIACIE